

**Beagle Peter S.
Sonata jednorożców**

Rozdział pierwszy

Joey miała wrażenie, że ulica ciągnie się bez końca. Upał późnej wiosny zatykał dech w piersiach, a torba z książkami uderzała w wilgotne miejsce na plecach dziewczynki, kiedy wlokąc się, mijała stacje benzynowe, parkingi, salony piękności, punkty wynajmu, małe pasażerki handlowe, a w nich mnóstwo sklepów z wideo, szkoły karate, targi ze zdrową żywnością i kina o paru salach - co kilka przecznice takie same, niezmiennie jak melodyjka, którą Joey wygwizdywała wciąż od nowa. Nie było tu drzew ani trawy. Nie było horyzontu.

W pobliżu skrzyżowania znajdowała się grecka restauracja, wciśnięta między biuro pośrednika w handlu nieruchomościami a sklep z obuwem. Joey na chwilę stanęła w drzwiach, szybko obrzuciła wzrokiem stoliki, odwróciła się i poszła kawałek dalej, do wystawy pełnej gitar, trąbek i skrzypiec. Spłóziały złoty napis oznajmiał: *Papas - sprzedaż i naprawa instrumentów muzycznych*. Joey z ukosa zerknęła na swoje odbicie, wykrzywiła się do patrzącej na nią z okna kanciastej trzynastolatki, przygładziła włosy, mocno szarpnęła ciężkie drzwi i weszła do środka.

Po JASKRAWYM BLASKU ulicy, w mroku i chłodzie sklepiku jakby pływała pod wodą na letnim obozie. Pachniało tu świeżymi trocinami, starym filcem, metalem i politurą.

Joey natychmiast kichnęła. Siwowłosy mężczyzna, zajęty zaopatrywaniem saksofonu w nowy stroik, rzekł, nie podnosząc oczu:

- Panna Josephine Angelina Rivera. Wciąż jeszcze uczulona na muzykę.

- Jestem uczulona na *kurz* - głośno powiedziała Joey. Zdjęła plecak i upuściła go na podłogę. - Gdyby pan odkurzał tę norę raz na kilka lat...

Mężczyzna prychnął głośno.

- Więc jesteśmy dziś w dobrym czy kiepskim nastroju? - W jego ochrypłym głosie dźwięczało coś nie całkiem jak obcy akcent - raczej jak echo innego, na pół zapomnianego języka.

- Gazety powinny co rano podawać prognozę Rivery jak prognozę pogody. - John Papas, niski i krępy, miał sześćdziesiąt, może sześćdziesiąt pięć lat, trójkątne ciemne oczy smutno na trzące nad wydatnymi kośćmi policzkowymi, szeroki, mocny nos i zmierzwiłone, posiwiałe czarne wąsy. Odłożył saksofon do futerału. - Rodzina wie, że tu jesteś? Mów prawdę.

Joey kiwnęła głową. John Papas znów prychnął.

- Pewnie, że wie. Któregoś dnia zadzwonię do twojej matki, przekonam się, czy wie, ile czasu spędzasz w tej norze, może zanadto jej się to nie spodoba. Mam dość własnych kłopotów, komu potrzebne są kłopoty z twoimi rodzicami? Daj mi wasz numer telefonu, zadzwonię do nich, co?

- Taak, dobrze, niech pan zadzwoni naprawdę późno - wymamrotała Joey. - Właściwie niezbyt często można ich zastać.

- Okrakiem usiadła na krześle, złożyła głowę na oparciu i zamknęła oczy.

John Papas wziął sfatygowany klarnet i udawał, że bacznie przygląda się klapkom, zanim znów przemówił.

- No. Więc jak poszła wielka klasówka z przyrody?

Joey wzruszyła ramionami, nie podnosząc głowy.

- Fatalnie. Jak przewidywałam. - John Papas zagrał gamę, warknął zirytowany i spóbował zagrać to samo w niższej tonacji. Joey podjęła: - Niczego nie potrafię zrobić dobrze. Niczego. Każdą rzecz knocę. Klasówki, prace domowe, ćwiczenia gimnastyczne - na litość boską, nie zaliczę *siatkówki*. Mój głupi braciszek lepiej ode mnie radzi sobie w szkole. - Walnęła w oparcie krzesła, otworzyła oczy i dodała: -1 lepiej tańczy. I jest ładniejszy.

- Dobrze mi tu pomagasz - stwierdził John Papas. Joey odwróciła oczy. - Układasz melodie. Niech to zrobi twoja nauczycielka-

cielka gimnastyki albo twój ładny braciszek. - Nie odpowiadała, więc rzekł: - Zdecyduj się: przychodzisz na lekcję, objąć się i dąsać, czy też oddać przysługę staremu człowiekowi. Co chcesz robić?

Joey powróciła myślami z bardzo daleka. Odwróciła głowę i wymamrotała:

- Chyba wszystko.

- Wszystko - powtórzył John Papas. - Dobra, znakomicie. - Ja pójdę teraz do nory Provotakisa, kupię sobie coś, co w tym tygodniu nazywa lunchem. Może zagram z nim w szachy, bo nie przemęcza się oszukiwaniem swojej kasy rejestrującej. Ty mi zamieć, poodkurzaj, rób, co zechcesz, zobacz, czy jeszcze raz nie potrafisz naprawić ubikacji. - Przesłał jej przelotny, ciepły uśmiech. - Jak wrócę, porozmawiamy o muzyce, zajmiemy się strunami, może nawet spróbujemy spisać niektóre z twoich rzeczy. Dąsami zajmiemy się później. Umowa stoi?

Joey skinęła głową. John Papas rażno ruszył do drzwi i dorzucił przez ramię:

- Pamiętaj trzymać łapki z dala od moich rzeczy. Facet, jak mu tam, przyjdzie po saksofon. Każ mu poczekać. Wrócę przed ko i przyniosę ci dobrej greckiej kawy.

Po jego wyjściu Joey rozejrzała się dokoła, nagle okiem właścicielki. Sklep składał się z jednego dużego pokoju podzielonego na dwa małe jedynie panującym w nich nastrojem. Część, gdzie stała Joey, była salonem wystawowym, pełnym gablot z instrumentami, stelaży z nutami i cieni gitar wiszących na ścianach. Druga część, ciemniejsza i utrzymana w większym porządku, służyła Johnowi Papasowi za warsztat i zarazem kantorek. Na białych nagich ścianach wisiły tylko dwa oprawione greckie afisze koncertowe. Parę instrumentów strunowych, a znacznie więcej stroikowych i drewnianych, w różnych stadiach demontażu, John Papas starannie rozłożył na długim stole i do każdego przyczepił kartkę z numerem. Wysoka metalowa skrzynka w mrocznym kącie służyła do przechowywania narzędzi.

Joey znów kichnęła i zabrała się do roboty. Większość czasu spędziła w salonie wystawowym na odkładaniu książek i broszur muzycznych z powrotem na półki, zbieraniu niezliczonych styropianowych kubków po kawie i opróżnianiu dwóch popiel-

niczek, z których cienkie czarne niedopałki cygar wysypywały się na stos rachunków i kwitów spiętrzony na kontuarze. Podśpiewywała teraz całkiem inną melodię niż na ulicy, a w miarę porządkowania wyraz napięcia powoli zniknął z jej twarzy. Głosem nieco wyższym i o wiele czystszy niż normalnie, prawie nieświadomie nuciła pod nosem melodię bez słów. Przeskakiwała ze skali minorowej do majorowej, na pozór przypadkowo zmieniając tonację. Jeśli w ogóle kiedyś myślała o tym śpiewie, to jak o swojej piosence do zmywania.

Naprawiła ciekący rezerwuar w ubikacji, powtarzając sobie, że ma raz jeszcze przypomnieć Johnowi Papasowi o potrzebie wymiany antycznego przepływomierza klapowego, poszła do schowka na szczotki po odkurzacz, śpiewając na tyle głośno, aby mogła się słyszeć mimo warkotu i brzęczenia. Sprzątała cierpliwie i pilnie, odkurzyła nawet tylne schody prowadzące na parking. Hałas zagłuszył skrzypnięcie otwieranych drzwi sklepu; kiedy wyłączyła elektroluks, odwróciła się i ujrzała chłopca, sapnęła ze zdziwienia, co w nagłej ciszy zabrzmiało jak wrzask.

Chłopiec uśmiechnął się do niej, podnosząc dłonie.

- Nie zrobię ci krzywdy - powiedział. - Jestem Indygo.

Był drobnej budowy, niewiele wyższy od Joey i na oko w tym samym co ona wieku; ale jakaś płynność jego ruchów przywodziła na myśl telewizyjne filmy dokumentalne o lampartach i gepardach. Miał na sobie niebieską wiatrówkę, zapiętą na suwak nawet w upale Doliny, brudne spodnie z grubej bawełny i zniszczone buty do biegania; a jego oczy, w najciemniejszym kolorze niebieskim, jaki w życiu widziała - prawdziwym kolorze indygo - osadzone były w trójkątnej twarzy o skórze, która wydawała się niemal przezroczysta. Miał szerokie usta i małe, spiczaste uszy - nie jak telewizyjny pan Spock, lecz mimo to zdecydowanie spiczaste. Wydał się Joey najpiękniejszą z osób, jakie w życiu widziała, i wzbudził w niej strach.

- Jestem Indygo - powtórzył. - Szukam... - dziwnie się za nią - Instrumentów Muzycznych Papasa. To Instrumenty Muzyczne Papasa? - Jego akcent różnił się od akcentu Johna Papasa, głos miał bardziej miarowy, jak jej szkolne koleżanki z Indii Zachodnich.

- To są Instrumenty Muzyczne Papasa - odparła Joey - ale pan Papas wyszedł na chwilę. Wróci niedługo. Czy ja mogę w czymś pomóc?

Indygo znów się uśmiechnął. Joey zauważyła, że kiedy to robi, oczy mu ciemnieją i nabierają tajemniczości. Zamiast odpowiedzi sięgnął pod wiatrówkę i wyciągnął róg, długi jak jego przedramię, skręcony spiralnie niczym muszla i na pierwszy rzut oka plastikowy, bo w tym kolorze ciemnego, lśniącego srebrzystego błękitu, jaki miewają tanie kosmetyczki i modele samochodów sportowych. Ledwie jednak chłopiec przytknął róg do ust i Joey usłyszała pierwsze nuty, zrozumiała, że nie jest zrobiony z żadnego znanego jej materiału. Rozbrzmiał dźwięk cichy, lecz ciepły i głęboki, niepodobny do tonów, jakie wydaje drewno czy mosiądz - mógłby być dochodzącym z daleka ludzkim głosem, który bez słów śpiewa o miejscu znanym jemu, nie jej. Kiedy go usłyszała, poczuła ściskanie w gardle i pieczenie oczu; i ze zdumieniem uświadomiła sobie, że się uśmiecha.

Róg nie miał żadnych wentyli; nic prócz tego jednego spłaszczonego otworu na czubku, w który się dmie. Zrazu dźwięki wydobywały się na chybił trafił, potem jednak popłynęły wolną, rozlewną, srebrzystoniebieską melodią, której rytm wymykał się Joey, wciąż jej uciekał jak swawolne kocię. Joey stała, całkowicie niepomna, gdzie się znajduje, i tylko z lekka poruszała głową, podczas gdy Indygo grał. On ani drgnął, lecz sama muzyka się przybliżała, niczym kociak nabierający odwagi: w jednej chwili przyjemnie znajoma jak kołysanka; potem, w następnej, zimna i obca, jak światło księżycy zamienione w melodię. Może dwukrotnie Joey z wahaniem wyciągała rękę, jakby chciała pogłaskać dźwięki, ale za każdym razem chłopiec spoglądał tak podejrzliwie, że ją cofała. Wydawało jej się, że w miarę jak Indygo gra, róg rozbłyskuje coraz mocniejszym światłem, a gdyby ona bardzo ostrożnie podążała wzrokiem za niebieskosrebrnymi spiralami, zaprowadziłyby ją w głąb muzyki. Indygo obserwował Joey oczami pozbawionymi teraz wyrazu, pociemniałymi tak, że z niebieskich stały się czarne, o głębokim odcieniu przestrzeni międzygwiazdnej.

Joey nie miała pojęcia, jak długo grał ani jak długo John Papas stał w drzwiach. Odwróciła się, dopiero słysząc pytanie zadane łagodnym, ochrypłym głosem:

- Wolno zapytać? Kogo my tu mamy?

Indygo natychmiast przestał grać, odwrócił się twarzą do niego i pokłonił nad rogim.

- Szukał pana - odparła Joey. - W porównaniu z muzyką własny głos brzmiał w jej uszach niezwykle i głośno. - Ma na imię Indygo.

- Indygo - rzekł John Papas. - Twoi rodzice jeździli do Woodstock, co? - zażartował dziwnym, pozbawionym wyrazu półszepem. Wpatrywał się w chłopca, wyraźnie go rozpoznając, z twarzą pobladłą i oczami otwartymi trochę za szeroko. Tym samym matowym głosem zapytał: - Co to jest? Pokaż.

Indygo znów się uklonił i podał mu srebrzystoniebieski róg. John Papas wziął go powoli, nadał wpatrzony w chłopca, kiedy przebiegał dłońmi po rogu z wyraźnym zdziwieniem, że nie znajduje w nim wentyli. Podniósł go do ust i dmuchnął najpierw nad otworem, potem do niego, zrazu lekko, dmąc i mocniej odgrywając staccato, kiedy żaden dźwięk się nie wydobył. Wreszcie - z zaczerwienioną twarzą i zrozumiałą irytacją - powiedział:

- No. Zrób to raz jeszcze.

Wciąż uśmiechnięty Indygo odebrał mu róg.

- Jest chyba nie dla każdego.

- Przechylił róg tak, że czubkiem wskazywał na staromodne okienko nad drzwiami sklepu, i zaczął grać melodię prostą jak śpiew kosa, tak słodko bezpretensjonalną, że napędziła niewyobrażalnego strachu Joey, powodując zjeżenie się włosów na karku, bolesne zeszywnienie warg i policzków oraz zimny skurcz żołądka. Lecz muzyka tanecznie wydobywała się z Indyga przez róg, bez udziału palców, które by ją kształtowały czy prowadziły: w jednej chwili jak dziecinny blaszany gwizdek, w następnej jak daleki głos na poły przedrzeźniający własną muzykę, kuszący i sarkastyczny zarazem.

Obok Joey John Papas, zdyszany jak biegacz, z rozchylonymi ustami, poruszał głową w rytmie muzyki. Kiedy przebrzmiała, powiedział cicho, opryskliwie:

- Co to takiego? Skąd go wzięłeś?

- Jest mój - odparł Indygo. - Pochodzi z bardzo daleka.

- Musi być syntetyczny - stwierdził John Papas. - Nic w przyrodzie nie wydaje takiego dźwięku. Znam się na tym, chłopcze, wiem.

Indygo nie odpowiedział i zrobił taki gest, jakby chciał schować róg z powrotem pod wiatrówkę. John Papas zareagował na to cichym, chrapliwym sapnięciem, jak na cios w żołądek. Upłynęło prawie sześć miesięcy od dnia, kiedy Joey po raz pierwszy weszła do jego sklepu, a nigdy jeszcze nie słyszała, aby wydał podobny odgłos, ani nie widziała na jego twarzy nic przypominającego to nie skrywane pożądanie.

- Co za to chcesz? - rzekł cicho. Znów wyciągnął rękę po srebrzystoniebieski róg i upuścił kartonowy kubek. Joey za późno się zorientowała, że dotrzymał obietnicy i przyniósł kawę, która rozprysnąwszy się na podłodze, poparzyła jej kostki.

Joey ani drgnęła, John Papas zaś potrząsał głową, najwyraźniej usiłując się ocknąć z uporczywego snu. Przemówił powoli, z silniejszym niż zwykle greckim akcentem.

- Kupię. Powiedz mi, ile chcesz.

Indygo się zawahał, jakby po raz pierwszy wytrącony z równowagi.

- Będzie pana kosztować bardzo dużo.

John Papas zwilżył wargi. Odparł:

- Czekam.

Indygo nadal sprawiał wrażenie niezdecydowanego, wręcz niespokojnego, więc John Papas zapytał bardziej stanowczo:

- No już, ile żadasz? Ile?

- Złota - odparł chłopiec. - Chcę złota. - John Papas wpatrzył się w niego, podobnie jak Joey. Indygo zrobił mały krok do tyłu i mocniej ścisnął róg. -W... w moim kraju nie ma takiej rzeczy jak pieniądz, nie kupuje się ani nie sprzedaje za kawałki papieru jak u was. Ale ja dużo podróżuję i widzę, że wszyscy zawsze i wszędzie chcą złota. Musi pan zapłacić mi złotem.

Joey roześmiała mu się w twarz.

- Pan Papas nie ma złota... co ty sobie myślisz, że jest pira tem? - Indygo odwrócił się do niej, a ona cofnęła się o krok do tyłu. - Nikt już nie ma złota - dokończyła. - Na litość boską, o nim piszą w książkach.

John Papas jednak uciszył ją ruchem ręki i rzekł ochryple:

- Zaczekaj, cicho bądź, dziewczyno - po czym zwrócił się do Indyga. - No więc, ile złota?

Niemal natychmiast Indygo znów się uśmiechnął, odzyskując chłód i pewność siebie.

- Ile pan ma? - John Papas otworzył i zamknął usta. - Je-
żeli złoto należy do rzadkości, to róg tym bardziej - oświadczył
Indygo. - Proszę mi wierzyć.

John Papas stał i wpatrywał się w niego długą chwilę, zanim
kiwnął głową.

- Zaczekaj. Odwrócił się, po czym zniknął w mrokach warsz-
tatu. Joey słyszała, jak otwierają się i zamykają drzwi narożnej
izdebki służącej mu za biuro. Pozostawiona sama z Indy-
giem, jak z nudnym krewniakiem, którego należy zabawiać,
omijała go wzrokiem, aby nie napotkać jego niepokojącego
spojrzenia. Przez frontowe okno widziała gładką, rozgrzaną ulicę,
z chrzęstem przejeżdżające samochody, od czasu do czasu
kręcące się sylwetki, to bliskie, to znów mniejsze, jak ryby, kiedy
krążą w misie. Pod wpływem krzywego uśmiechu Indyga po-
nury, znajomy świat za oknem zaczynał się wydawać tak nie-
rzeczywisty jak świat, w którym codziennie znikali jej rodzice.
Była wdzięczna, gdy usłyszała powracającego Johna Papasa.

- Złoto - powiedział. - Chcesz złota, chłopcze? Papas pokaże
ci złoto. - Pod pachą niósł drewniane pudełko, długie i płytke,
podobne do teczki malarza, również dlatego, że boki miało
poplamione i zapackane. Kiedy postawił je na ladzie, Joey
pochwyciła dobiegający ze środka grzechot i poczuła drapanie w
gardle. John Papas wetknął dwustronny klucz w miejsce, gdzie
na pozór nie było dziurki. Zamek nie zgrzytnął, kiedy kluczyk się
obracał. John Papas odrzucił pokrywkę i Joey zobaczyła, że pół
pudełka zajmują stare monety, nie mniejsze od dzie-
sięciocentówki, a nie większe od srebrnego dolara. Niektóre
miały na powierzchni wypukłe rysunki i wzory, inne zaś były na
skutek używania wygładzone jak kamyczki do gry, wszystkie
jednak przypominały odcieniem brudne, żółtobrązowe mosiężne
okucia pudełka. Choć całkiem suche, z lekka załatywały wil-
gocią; pachniały ziemią.

- Drachmy - powiedział John Papas. - Gwinee, korony, su-
wereny, stare pięciodolarówki. Masz dukaty, dublony, na Boga,
jak w książkach o piratach masz *moidory*. Równowartość rogu. -
Lekko rozchylił wąskie, blade wargi, tak że błyskał zębami.

Na widok przyglądającej mu się Joey rzucił opryskliwie:

- To nie moje, Josephine Rivera. Mojego ojca. Po części je
go ojca. Jesteśmy Grekami, co oznacza, że nigdy nie wiadomo,

kiedy trzeba będzie w pośpiechu się wynosić. Kupować paszport, wizę, dawać łapówkę kapitanowi, glinie, strażnikowi na granicy. Nikt nigdy ci nie pomoże, nikt, tylko złoto. Tylko złoto.

- Gwałtownie potrząsał pudełkiem, a monety z głośnym grzechotem padały jedna na drugą.

Indygo wziął parę i obracał je w dłoni, popychał tam i z powrotem.

John Papas powiedział:

- Mój ojciec dał mi to przed śmiercią. Do dzisiejszego dnia ani jednej nie sprzedałem. Ani jednej, bo Grekowi mogą być kiedyś potrzebne. Teraz, za róg, dam wszystkie. Bierz, chłopcze!

- Podetknął pudełko pod nos Indyga.

Chłopiec popatrzył na niego, na Joey i znów na niego. Zerknął na monety chwilowo zaniepokojony, lecz Joey odniosła wrażenie, że jego niedawna szalona chęć po raz wtóry zanurza się w ciemnoniebieskich oczach na głębokość wielu sążni. Patrząc prosto na Joey, zgarnął więcej monet na rękę i zmarszczył czoło.

- Bierz - niecierpliwie powtórzył John Papas. - Dalej, każda jest autentyczna, dostaniesz dobrą cenę od handlarza, lepszą od zbieracza. No. - Wcisnął chłopcu pudełko i sięgał po srebrzystoniebieski róg.

- Nie - odezwał się nagle Indygo. - Nie, to za mało. - Odwrócił się raptownie i podał róg Joey. Ich palce zetknęły się na moment, a kości Joey przeniknęły delikatny, gorący dreszcz. - Zagraj - rzekł Indygo. - Pokaż mu, dlaczego to za mało.

Róg pachniał odległymi kwiatami. Ledwie dotknął warg Joey, zjednoczyli się, razem odczuwali i tworzyli muzykę, niczym nie rozdzieleni. Ona nawet nie zdawała sobie sprawy, że w niego dmie, nie próbowała kształtować melodii z dźwięków - muzyka po prostu tam była, była od zawsze, tańcząc wydobywała się z Joey. I było tam coś jeszcze, coś, co ją otaczało ze wszystkich stron, życzliwe i równocześnie straszne, coś, co natychmiast by zobaczyła, gdyby otworzyła oczy. Ale zamknęła je, kiedy zaczęła grać, i nadal nie otwierała, bo jakąś cząstką swojej istoty odczuwała ślepy strach.

Z oddali doleciał głos Indyga:

- Skończ teraz.

Później Joey nieustannie się zastanawiała, czy mogłaby przestać grać - albo służyć za instrument - gdyby się nie ode-

zwał. Drżącymi rękami odłożyła róg na kontuar i podniosła powieki. John Papas wpatrywał się w nią z mieszaniną przerażenia i absolutnej radości, a dziwny chłopiec z uśmiechem zabierał swój srebrzystoniebieski róg.

- Na imię mam Indygo - powiedział. - Pamiętajcie o mnie w Instrumentach Muzycznych Papasa. Może wróćę.

Z tymi słowy zniknął, tak całkowicie, jak w pełni był obecny, kiedy Joey skończyła odkurzać tylne schody. Bardzo wolno otworzyła drzwi sklepu i mrużąc oczy, popatrzyła na znany sobie świat, nigdzie jednak nie dostrzegła śladu chłopca. Za jej plecami John Papas przemówił łagodnie:

- Zamknij je. Zamknij, Josephine.

Joey zamknęła drzwi i oparła się o nie. John Papas stał przy ladzie i ocierał czoło chusteczką; teraz już bardziej do siebie podobny niż w czasie wizyty Indyga, ale wyglądał też na człowieka starszego, pomyślała Joey, i bardzo zmęczonego. Bez celu pogrzebał w pudełku, wcale nie patrząc na złote monety.

- Znał go pan skądś? - zapytała Joey.

John Papas szybko podniósł wzrok.

- Co, jego? Myślisz, że się kręcę i zawieram znajomości z ludźmi o imionach Indygo, Żółcień Kadmowa czy coś w tym rodzaju? Uważasz, że mógłbym znać kogoś takiego jak on? Mniej-
sza z tym. Nigdy w życiu go nie widziałem. - Znadto się złościł; to do niego nie pasowało.

- No, takie odniosłam wrażenie - powiedziała Joey. - I wydawało się, że pan zna tę muzykę. - Czuła się nieswojo, była zmęczona i zirytowana.

John Papas wpatrywał się w nią chyba bardzo długo, a w oczach nie miał nic prócz jej odbicia. Joey odwzajemniała spojrzenie, z uporem powstrzymując mruganie. John Papas podrapał się w głowę i zaczął z wolna krzywo się uśmiechać, jakby z wbitym w wargę haczykiem.

- Josephine Rivera - rzekł. Potem powiedział coś w innym języku, a następnie znów po angielsku: - Josephine Rivera, skąd się tu wzięłaś? Dlaczego kręcisz się u starego Greka w za kurzonym sklepie z instrumentami muzycznymi? Dlaczego nie jesteś na dworze, nie grasz w baseball, w piłkę nożną, nie umiesz się ze swoim chłopakiem, nie idziesz na tańce? Czemu



nie wybierzesz się do kina? - Nadal starał się powstrzymać uśmiech, który i tak zakradał mu się do oczu.

- Nie lubię baseballu - odparła Joey. -1 nie mam chłopaka, a tańczę fatalnie, każdy to mówi. Lubię być tutaj, pomagać i w ogóle. Chciałabym wiedzieć, co się dzieje. Nie wolno za pytać?

John Papas westchnął.

- Nie wolno, bo do tego nie przywykłem, taka rozmowa nie ma żadnego związku z muzyką, z naprawą instrumentów. Człowiek żyje sam, jak ja, i zapomina ludzkiej mowy. - Skubał wąsy, ciągnął je najpierw z jednego końca, potem z drugiego, a na stępnie z obu stron przyglądał knykciami. Wreszcie rzekł: - Josephine Rivera, nie masz czasem uczucia, że coś idzie tuż obok ciebie... lekko odwrócisz głowę i na pewno tam będzie? Tylko że kiedy ją odwracasz, niczego nie ma? Miewasz takie uczucie?

Joey potaknęła.

- Zupełnie jak wtedy, kiedy wiem, że ktoś patrzy, ale go nie widzę?

- Tak - zgodził się John Papas. -1 może tak jak wtedy, kiedy patrzysz, i to tam jest, może po drugiej stronie ulicy, lecz widzisz zaledwie mały kawałeczek owego czegoś, nigdy całość. Zdarza ci się to czasami?

- Chyba tak - wolno powiedziała Joey. - Kiedy byłam naprawdę mała, moja Abuelita, moja babka, nieraz powtarzała, że jeśli dość szybko odwrócę głowę, potrafię zajrzeć do własnego ucha. To chyba coś podobnego.

John Papas wydał się nagle zmęczony i niezdecydowany.

- Taak - rzekł. - No, miej oczy otwarte, i tyle. - Znów potarł wąsy, wetknął pudełko z monetami pod pachę i zawrócił do ciemnego warsztatu.

- Ten chłopiec. Indygo... - zaczęła Joey.

John Papas przystanął zwrócony do niej plecami.

- Nie ma o czym gadać. Idź do domu, chcę dziś wcześniej zamknąć. Do widzenia.

- Dobra - odrzekła Joey. - Do widzenia. - Jej głos zabrzmiał cienko, nutą urazy, o co była na siebie wściekła. Zrobiła krok w stronę Johna Papasa i spytała: - Chce pan, żebym przyszła jutro? - po czym zamilkła, bo znów rozległa się muzyka...

...teraz oddalona, jakoś zarówno w czasie, jak w przestrzeni, dźwięk obdarzony zapachem, zielonym i ciemnym zapachem, i zapachem jabłek i wielkich piór nagrzanym słońcem. Melodia wznosi się i żąda, następnie opada pod wiatr jak latawiec; raz jest bliska jak mój własny oddech, raz tak daleka, że muszę słuchać skórą, nie uszami. Gdzie to jest, gdzie jest? Muszę tam pójść.

Nie zdawała sobie sprawy, że ostatnie słowa wymawia szep-tem, dopóki nie usłyszała głosu Johna Papasa:

- Gdzie jest co? O czym ty mówisz?

- Muzyka - odparła Joey. - Ta sama muzyka. Skąd się bierze? - John Papas wlepił w nią wzrok. Joey mówiła: - No tam, właśnie tam. - Obrzuciła pokój oszalałym spojrzeniem, następnie z okrzykiem znów podbiegła do drzwi. - Skąd ona płynie? Jest wszędzie. Nie słyszy pan? - Drzwi jak zawsze się zatrzasnęły, a ona stukła sobie nadgarstek i złamała paznokiec, pchając je, próbując dotrzeć do muzyki.

Wtem znalazł się przy niej John Papas, jedną rękę delikatnie położył na jej ramieniu. Muzyka się ulotniła, choć Joey jeszcze czuła ją na włoskach przedramion, a suchymi wargami poznawała jej smak. John Papas powiedział cicho:

- Idź do domu, Josephine Rivera. Idź prosto do domu, nie zatrzymuj się z żadnego powodu, nie *słuchaj* niczego. Wetknij do uszu walkmana i słuchaj jego. Szerzej omówimy to innym razem, może jutro. Uwaga, nie zapomnij wziąć książek. Teraz idź do domu.

- To ten chłopiec - stwierdziła Joey. - Indygo. Muzyka zaczęła się od niego, proszę pana. Muszę wiedzieć...

- Jutro - powtórzył John Papas. - Może. A teraz do domu. - Otworzył drzwi, wypchnął za nie Joey i kiedy zarzucała plecak z książkami na ramiona, już ściągał wąską markizę i odwracał tekturową tabliczkę z napisem *Zamknięte*.

Rozdział drugi

Był pierwszy dzień miesiąca, więc Abuelita jadła z nimi obiad. Zasiadli do stołu później niż zwykle, bo po pracy pan Rivera musiał nadłożyć drogi, żeby ją przywieźć ze schroniska Srebrne Sosny. Siedziała naprzeciwko Jo-ey: drobna, brązowa, idealnie okrągła, z gładkimi czarnymi włosami rzadszymi teraz, lecz lśniącymi jak zawsze. Ilekroć pochwyciła wzrok Joey, uśmiechała się do niej powoli i szeroko, jak wschodzące słońce.

Joey nigdy nie miała pewności, ile właściwie lat skończyła babka - ojciec twierdził, że Abuelita sama tego nie wie -i od dziecka naprawdę z trudem wyobrażała ją sobie jako matkę ojca. Nie chodziło o brak podobieństwa, gdyż pan Rivera wziął czarne włosy, serdelkowate palce i małe, delikatne uszy po Abuelicie; raczej o to, że w jego oczach nigdy nie pojawił się kapryśny czy tajemniczy błysk, żadna skryta myśl o psocie nikomu prócz niej nie zaświtała w głowie. Bardzo małą Joey dręczył niepokój, że w rzeczywistości Abuelita nie należy do rodziny, a jedynie ich adoptowała z sobie tylko znanych powodów, i może zniknąć, wrócić do swoich prawdziwych dzieci i wnuków, kiedy uzna za stosowne. Nawet teraz śniło się to jeszcze Joey.

Głośną hiszpańszczyzną z Coahuila Abuelita zapytała siedzącego przy niej dziesięcioletniego braciszka Joey, Scotta, jak się spisuje w szkole. Wiercił się na krześle, rozgrzebywał jedzenie na talerzu i patrzył na ojca. Pan Rivera odpowiedział za niego po angielsku:

- Dostaje naprawdę dobre stopnie, mamó. Jest w klasie dla

dzieci szczególnie uzdolnionych, gra też w piłkę nożną. Jego drużyna może w tym roku wejść do finału stanowego.

- Ale nie umie mówić po hiszpańsku - stwierdziła Abuelita. - Mój wnuk nie potrafi mówić do mnie w naszym języku. - Choć jej ton nie zdradzał żadnej złości, pretensji czy nawet żalu - był tylko niezwykły przez swą powagę - pan Rivera i tak poczerwieniał.

Wtrąciła się matka Joey:

- Mamo, on nie ma czasu, taki jest zajęty szkołą i drużyną, przyjaciółmi i w ogóle. I wiesz... niezbyt często słyszy hiszpański.

- Bo to taka dzielnica - grzecznie zgodziła się Abuelita. - Ale Fina mówi równie dobrze jak ja. - Nikt prócz Abuelity nie nazywał Joey jej dziecięcym imieniem.

- No, wtedy mieszkałaś z nami - powiedziała pani Rivera. - Przed przeprowadzką. Warunki były inne.

Abuelita kiwnęła głową.

- *Muy diferente, las circunstancias.* - Odwróciła się do Scotta, pogłaskała go po rękę i mówiła do niego po angielsku tak starannie jak do cudzoziemca. - Wiesz, co myślę? Że chyba we dwójkę powinniśmy się w lecie wybrać do Las Perlas. Kiedy skończy się szkoła, tylko we dwójkę. Po dwóch miesiącach w Las Perlas będziesz mówił jak prawdziwy *coahuileno*. Może nawet za smakujesz w *menudo*, kto wie? - Mrugnęła do Joey.

Scott jak zawsze chwycił przynętę.

- *Menudo* to obrzydlistwo! Wnętrze krowiego żołądka - fe, fe, fu!

Pochylił się nad talerzem i Joey przez chwilę myślała, że może naprawdę zwymiotuje. Potrafił to zrobić na zawołanie albo - co bardziej praktyczne - kiedy się założył. Abuelita zerknęła na niego z ukosa, więc się wyprostował.

- Gilberto? - zwróciła się do pana Rivery. - Co o tym są dzisz? Może wszystkim udałoby się pojechać do Las Perlas. Dzieci powinny zobaczyć miejsce, skąd pochodzą, skąd wzięli śmy początek. Chciałabym całą rodziną odwiedzić Las Perlas.

Joey równie dobrze znała szybkie spojrzenie rzucone przez ojca żonie, oznaczające *pozволь-mnie-to-zatwić*, jak zmianę, która zachodziła w jego głosie, ilekroć dzwonił ktoś z pracy. Ojciec powiedział:

- No, mamó, nie jestem pewien, czy Las Perlas jeszcze istnieje. Myślę, że mogli je zburzyć. Przed laty.

- Las Perlas jest na miejscu - cicho odrzekła Abuelita. - Las Perlas istnieje.

- Nie chcę tam jechać - oświadczył Scott. - Trener zabiera całą drużynę do Disneylandu, jeśli wejdziemy do finału.

Joey siedziała z tyłu obok Abuelity, kiedy pan Rivera odwoził ją do Srebrnych Sosen. Trzymały się za ręce.

- Posłuchaj - odezwała się Joey - nie robię w lecie nic specjalnego. Jeśli chcesz, pojedę z tobą do Las Perlas.

Abuelita pokręciła głową.

- Ostatnio za dużo myślę o Las Perlas, Fino. To niedobre dla starej kobiety. Po prostu o tym zapomnimy.

Joey ścisnęła jej dłoń.

- Dobrze, pojedziemy tak jak dawniej, do Chin, pamiętasz? Kiedy byłam mała, w starym domu? Siedziałyśmy w ogródku za domem i kopałyśmy. Nadal mogłybyśmy to robić.

Abuelita miała jeden szczególny uśmiezek, który zawsze przywodził Joey na myśl drobną, niegrzeczną czarnooką dziewczynkę, jaką babka musiała być w dawnych czasach, kiedy boso ganiała po błotnistej ulicy za kozą.

- Ay, ten magiczny ogródek. Jeździłyśmy stamtąd do Oaxaca, prawda? I do Indii. Pamiętam, Fino.

- Ogródek nie był magiczny - odparła Joey. - Ty taka byłaś. I wciąż jesteś.

Na zwirowanym podjeździe Srebrnych Sosen uścisnęła Abuelitę na pożegnanie i powiedziała:

- Zobaczymy się w niedzielę o zwykłej porze. Mam ci coś przywieźć?

- Przywieź piosenkę - odparła Abuelita. - Jedną z tych, które układasz, na to miałabym ochotę. Mogłabyś mi ją zaśpiewać w czasie spaceru.

- Umowa stoi. - Joey prędko wsiadła do samochodu, bo nie znosiła widoku Abuelity ciężkim krokiem przecinającej dziedzińiec, malejącej i znikającej w jaskrawym blasku oświetlonej fontanny. Odezwała się do ojca: - Za każdym razem, kiedy ją tak podzucamy, myślę sobie: *Przypuśćmy, że to ostatni raz?* Nic nie mogę na to poradzić, zawsze tak myślę.

- Mama to twarda sztuka - odrzekł pan Rivera. - Przeżyje

nas wszystkich, wierz mi na słowo. - Przez resztę drogi powrotnej robił notatki, korzystając z kieszonkowego dyktafonu, więc Joey, zwinęta w kłębek przy drzwiach, myślała o przekopywaniu się z Abuelitą do Chin i Indii.

Tej nocy zasypiała z trudem, aż wreszcie zdołała zapaść w niespokojną drzemkę, z której ocknęła się po paru godzinach w ciemnym, cichym domu, w którym jeszcze pomrukiwała zmywarka. Joey wymknęła się do kuchni na szklankę mleka czekoladowego, po czym znów wyciągnęła się na łóżku z jednym z romansideł swojej matki, cierpliwie czekając na sen.

Dobrze po północy, wciąż całkowicie rozbudzona, akurat zaczynała się zastanawiać nad możliwością pooglądania telewizji, jeśli położy się na podłodze przed telewizorem i *naprawdę* go ściszy, gdy wtem z tak bliska usłyszała muzykę, że zanim ją rozpoznała, przyszła jej na myśl, iż to pewnie Scott znów zasnął z tym swoim cholernym, głupim radiem. Muzyka dobiegała jednak z zewnątrz, sprzed domu, wzywała na ulicę i Joey otworzyła dwa zamki i zasuwę, zanim do niej dotarło, że muzyka ucichła. Usłyszała własny płacz żalu, ale nikt się nie obudził.

Stanęła na stopniu frontowych schodów, nasłuchując. Teraz jedynymi dźwiękami były przerywany syk spryskiwaczy na trawniku i daleki pomruk samochodów na autostradzie. Potem rozległo się to znów: odgłos cichszy, nie aż tak wyraźny, ale na pewno dość bliski, gdyby tylko zdołała dokładnie określić, skąd dolatuje. Dalej, za sztucznym jeziorem, za podstawówką Scotta, tuż za ochotniczą strażą pożarną, tam musi to być. Wbiegła do domu, przebrała się z piżamy w dżinsy i za dużą trykotową koszulkę z nadrukiem *Ekspozycja północna*, chwyciła buty do pieszych wędrowek - włożyła je dopiero wtedy, kiedy znów znalazła się na dworze - i podążyła za muzyką.

Muzyka ją prowadziła, drażniła się z nią, jak ona kiedyś z kotem ciotki Izabeli, któremu machała przed nosem kulką zmiętego papieru, zawieszoną na sznurku tak wysoko, że nie mógł jej dosięgnąć. Drżące glissando rogu Indyga - *musi to być to, bo cóż mogłoby być innego?* - wiodło ją przez bezwietrzną kalifornijską noc; czasem jakby słyszała drugi róg, który bawił się i rzucał zajadle na melodię, niczym kot ciotki Izabeli; niekiedy mogłaby przysiąc, że tych rogów jest kilkanaście. Ich harmonie i kontrmelodie chwytaly ją za serce, zapierały dech. *Muzyka,*

która rozbrzmiewa mi w głowie zawsze, przez całe życie, muzyka, której nigdy nie potrafię nazwać...

Pod pomarańczowym półksiężycem ulice świeciły pustkami, jeśli nie liczyć paru samochodów, dosłyszalnych z dużej odległości, bo łoskot ich stereo odbijał się echem od domów. Rzecz dziwna, nie zagłuszały muzyki, nawet kiedy zbliżyły się na tyle, że kierowcy mogli się przyjrzeć Joey, krzyknąć coś obraźliwego i pomknąć dalej. Joey nie zwracała na nich uwagi, lecz szła pośpiesznie, raz w prawo, raz w lewo, ilekroć muzyka dobiegała z jakiejś ulicy. Nigdy nie cichła zupełnie, przyplływała jednak i odpływała tak nieregularnie, że Joey całą uwagę skupiała na zlokalizowaniu jej źródła. Dlatego nie zauważyła, gdzie właściwie po raz pierwszy przekroczyła Granicę.

Tam, po drugiej stronie, świtało. Jeden krok oddzielał od brzasku.

JOEY PRZYSTANĘŁA Z nogą jeszcze w powietrzu, tuż nad ziemią. Opuściła stopę bardzo powoli, nie na asfalt, tylko na chłodne, sprężyste, poranne paprocie. Długo przyglądała się swoim stopom w trawie, następnie podniosła głowę, aby spojrzeć w niebo, jakiego nigdy jeszcze nie widziała. Mogłoby być niebem nad jakąś inną planetą: nie z uwagi na barwę czy kształt zwicchrzonej morelowej chmury, lecz dlatego, iż Joey patrzyła na nie przez powietrze tak czyste, że wszystko wydawało się nieco jaśniejsze i bliższe niż w rzeczywistości. Oszołomiona Joey czuła, że mogłaby ścisnąć wschodzące słońce i zerwać je na śniadanie.

Całkowicie zniknęły znajome podmiejskie ulice. Stała na niskim wzniesieniu, z trzech stron otoczonym wysokimi niebieskimi drzewami. Drzewa przypominały jakiś gatunek dębów, na ile Joey się orientowała, liście miały jednak w niebieskim kolorze ciemniejszym niż samo niebo, w kolorze oczu Indyga, które raptem odżyły w jej pamięci. Zza drzew wyzierały z jednej strony zielone wzgórza - tym razem wyższe - z drugiej woda roziskrzona lekkim błyskiem słońca, z trzeciej jasna połać pastwiska, zła-godzona przez dzikie kwiaty. *Cokolwiek oznacza tu słowo „dzikie”. Nigdzie ani śladu domów, dróg, ludzi. Może wszystko jest tu dzikie.*

To dzięki muzyce Joey nie czuła strachu. Muzyka była teraz wszędzie, wyraźnie bliższa, nadal jednak nie dająca się zlokalizować. Ustawicznie falowała i łagodniała, nawet tutaj, ra-

dosna, nieodpowiedzialna, jakby musując wydobywała się z kamieni, niczym odgłos wiosny; jakby ćwierkając podnosiła się z trawy i ziemi, niczym owad-rzępoła; jakby padając na Joey kroplami deszczu. Joey odłożyła na później wszystko prócz muzyki, aby z czasem to sobie uporządkować, rozejrzała się szybko i po paru falstartach wreszcie postanowiła iść w stronę łąki, z dala od drzew. *Tam lepiej ją usłyszę, dokładnie namierzę. Znajdę ją. Chce, żebym ją znalazła.*

Zapуściła się na łąkę, w ślad za muzyką, brodziła w trawach zielonych niczym morze, sięgających do łydek, i przystawała, aby się przyjrzeć kwiatom podobnym do długich pomarańczowych jeziorów i połyskliwych hebanowych guzików, gdy wtem muzyka raptownie ucichła. Wstrząs był nieomal fizyczny; Joey wykonała obrót i oszalałym wzrokiem potoczyła dokoła. Cień, ciężki i zimny jak wąż, dotknął jej karku.

Sama szeroka łąka jakby się cofała, kuliła przed nią z każdej strony, ciemniała wszędzie tam, gdzie spojrzęła Joey, która stała okropnie narażona na obserwację ze strony czegoś niepojętego. Cień sunął za szybko i za wysoko nad jej głową, toteż pewna była tylko tego, że rzuca go mnóstwo małych skrzydlatych stworzeń - *ale to nie ptaki, to nie ptaki -i że one gwarzą ze sobą w locie, wydając cichy, zimny klekot.* Joey zawróciła i pobiegła pod drzewa.

Cień również zawrócił, prawie natychmiast; bez oglądania się do tyłu czuła ciemny wir na skórze. *O Boże, nie należało się ruszać, dostrzegły mnie.* Mięka trawa czepiała się teraz jej ciężkich butów, pomarańczowo-czarne kwiaty chwyciły ją za nogi i kostki, a za jej plecami zimna paplanina rozbrzmiewała coraz bliżej, gdy tymczasem niebieskie drzewa sprawiały wrażenie odległych jak zawsze. Głowę Joey wypełniał okropny dźwięk. Potykała się co krok, zataczała, rozpaczliwie usiłując zachować równowagę; oddychanie upodobiło się do połykania ognia. Czuła, że cień ukośnie pada jej na serce.

Ostatnim susem dała nura w inny cień, opiekuńczy, słodko pachnący, i runęła na twarz. Poderwała się momentalnie, zataczała jeszcze przez parę jardów i znów upadła. Nawet wtedy, uczepiona korzeni drzew, podciągała się w górę, gdy wtem jakiś głos powiedział jej do ucha:

- Nie ruszaj się, córko. Bądź całkiem nieruchoma. - Przez chwilę Joey sądziła, że ścigający ją dźwięk przeobraził się w sło-

wa, one zaś będą zapewne ostatnimi, jakie usłyszysz. Ale głos mówił: - Drzewa powinny je zatrzymać - i uświadomiła sobie, że nie ma w nim wygłodniałego klekotu, mrożącej krew w żyłach zapalczowości. Nieco burkliwie wyjaśnił: - One nie lubią drzew - a kiedy zaczęła podnosić głowę, rozkazał: - Leż! Bez ruchu!

Joey znieruchomiała posłusznie, choć w oczy napchało jej się pełno ziemi, a korzeń boleśnie dźgał ją w bok. Cień cofał się z wolna - czuła go, a w górze wciąż słyszała gniewny szczebiot, podobny do trzasku piorunów. Kiedy lekko poruszyła uwieczonym ramieniem i głos jej nie upomniał, ośmieliła się spojrzeć w stronę, skąd dochodził. Zrazu nic nie widziała, choć w nos zaczęła ją szczypać ostry zapach, absurdalnie znajomy, zapach świeżo wymytych szkolnych ubikacji. Potem go zobaczyła.

Był o głowę czy więcej niższy od Joey i tak idealnie pasował do ilustracji oglądanych w zbiorach mitów, że musiała powstrzymać śmiech równie nagły jak kichanie. Uśmiechnął się do niej krzywo, przy czym między pokrytymi zarostem wargami błysnęły prostokątne, uwalane jagodami zęby. Jego brunatna, trójkątna twarz różniła się od ludzkiej spiczastymi uszami - naprawdę spiczastymi, znacznie bardziej niż uszy Indyga - i żółtymi kozimi oczami o wąskich, poziomych źrenicach. Miał kozie nogi zakończone racicami, zupełnie jak w książce, z usta wioną pochyło do tyłu, wyraźną pęciną tam, gdzie u człowieka powinno być kolano. Był nagi, a pierś, tak jak brzuch i nogi, po krywał mu szorstki ciemny zarost, prosty i zlepiony biotem; na głowie natomiast włosy tak mocno skręcały się w loki, że nie mały zakrywały dwa małe, wyzierające spod nich różki. Uśmiech nał się szerzej, widząc zagapioną w niego Joey.

- Nazywam się Ko - oznajmił. - Możesz bez wstydu się mną zachwycać. - Przyglądał brodę brudnymi palcami o połamanych paznokciach i dodał: - Za młodu byłem ładniejszy, ale brakowało mi obecnego doświadczenia, które przychodzi z wiekiem.

Joey wreszcie odzyskała głos, choć zabrzmiał jak bolesny rechot.

- *Wiem*, czym jesteś, widziałam obrazek. Jesteś faunem albo czymś takim... to znaczy satyrem. Jesteś prawdziwym satyrem.

Ko wyglądał na nieco zaintrygowanego.

- Tak by mnie nazywano w twoim świecie? - Raz czy dwa spróbował powtórzyć to słowo, po czym wrzucił ramionami. -

Chyba wystarczy mieszkańcom innego świata. Niewątpliwie do tego przywykliście.

- Te rzeczy - szepnęła Joey. Ko w lot zrozumiał.

- Nazywamy je perytonami, tak jak siebie nazywamy tirujami. Naprawdę świetnie się spisałaś, żeś im uciekła, córko. Nie wielu to potrafi. Radzę tu zostać jeszcze chwilę i mówić cicho. Perytony są stworzeniami bardzo cierpliwymi.

Joey go usłuchała, choć wierząc się, zmieniła stopniowo pozycję na wygodniejszą i wsparła się na łokciach. Zapytała:

- Powiedziałeś w *twoim świecie*. Jeśli... jeśli naprawdę nie jestem w moim świecie... dobra, to w takim razie gdzie? - Wstrzymała oddech, bynajmniej nie przekonana, że chce usłyszeć odpowiedź.

Ko odrzekł:

- Jesteś w Shei'rahu.

Za pierwszym razem to słowo jak lekki wietrzyk musnęło jej policzek. Podniosła nawet rękę, aby dotknąć twarzy.

- Gdzie jestem?

- W Shei'rahu - powtórzył satyr. - Powinienem od razu cię poinformować, że nie jesteś pierwszym przybyszem z innego świata, który tu trafił. Ale jesteś pierwsza od bardzo dawna i szalenie mnie cieszy znajomość z tobą. Zawsze ich lubię, tych mieszkańców innego świata.

Trajkot pery tonów oddalał się powoli - Joey musiała teraz nadstawić ucha, aby go słyszeć. Usiadła i spróbowała usunąć ziemię z włosów i oczu. Powiedziała z namysłem:

- Nazywam się Josephine Angelina Rivera. Wołają na mnie Joey. Mieszkam na ulicy Alomar, w mieście Woodmont, tyle że to nie żadne prawdziwe miasto, raczej duży, nieporządnny pasaż handlowy na zachód od Los Angeles. Moja matka pracuje w handlu nieruchomościami, ojciec robi coś przy komputerach, jest elektronikiem. Mam brata, kompletnego durnia, i babkę w jednym z tych zakładów dla starych ludzi, choć chciałabym, żeby tam nie była. Chodzę do szkoły powszechnej Ridgecrest. Pojutrze mam wizytę u dentysty. Co robię w miejscu, które nazywa się Shei'rah? - Przeniosła wzrok z twarzy zaciekawionego satyra na rosnące wszędzie dokoła niebieskie drzewa, na ziemię, z której spoglądał na nią szkarłatny ślimak wielkości dużej piłki. - Przecież powinnam leżeć łóżku - dodała cicho.

Muzyka rozbrzmiała raz jeszcze, choć Joey nie umiałaby powiedzieć kiedy. Pamiętała, że satyrowie grali na śmiesznych małych fujarkach, z bambusu czy czegoś innego, ale Ko używał rąk chyba głównie do drapania; zresztą muzyka dolatywała tym razem z bardzo daleka. Ko się przeciągnął - z pewnością zalał tywał paskudnie - i rozkoszował się drapaniem w zadek, dopóki zgrabny pędzelek jego ogona nie zaczął się kręcić jak śmigło. Na koniec rzekł:

- No, moim zdaniem już nic nam nie grozi. Pójdziemy, córko?

Absurdalność tego słowa, wypowiedzianego przez takie stworzenie, pobudziła Joey do mimowolnego chichotu.

- Pójdziemy? Gdzie? - spytała.

Ko uniósł krzaczaste, skośne brwi.

- No, zobacz się z Najstarszymi, gdzież by indziej? Najstarsi będą wiedzieli, co zrobić.

- Najstarsi? - Joey wstała. - Jacy Najstarsi? - Ko się uśmiechnął, ale nie odpowiedział. - Nie mogę nigdzie iść - opierała się Joey. - Jutro mam szkołę, mam klasówkę, na litość boską. A moi rodzice, jeśli się obudzą i mnie nie będzie w domu... Słuchaj, nie wiem, jak się tu dostałam, lecz musi być droga powrotna. Pokaż mi tylko, którądy przyszłam, i wszystko będzie w porządku. Przepraszam, ale naprawdę muszę wracać.

Uśmiech satyra stał się łagodnie współczujący.

- Córko, nie możesz teraz przekroczyć Granicy. Księżyc zaszedł.

- Granicy - powtórzyła Joey. - Jakiej granicy? Co ma do tego księżyc? O czym ty mówisz?

Ko jednak już szedł między drzewami. Joey niezdarnie ruszyła za nim, bojąc się, że zostanie w tyle. - Muszę wracać *do domu* - krzyknęła, kiedy go dogoniła. - Muszę być w szkole! Jak daleko jest do tych Najstarszych, *kimkolwiek* są?

Ko się odwrócił, ujął jej rękę i pogładził palcami grubymi i szorstkim niczym psia opuszka.

- Pogadamy po drodze - odparł. - Wszystko będzie dobrze, córko, wiem prawie na pewno. W Shei'rahu wszystko dość często bywa dobrze.

Rozdział trzeci

Podróż trwała cały dzień. Ko unikał łąk - tak blisko Granicy otwarta przestrzeń to zaproszenie na obiad dla perytonów - i stale szedł pod osłoną, niezależnie jak trudny był szlak. Wiódł Joey przez las, przez gąszcz jeżyn i znów przez mroczny, głęboki las, w którego podszyciu tylko niekiedy ukazywały się poręby upstrzone plamami słońca; tam ptaki, tak nieprawdopodobnie jaskrawe, jakby je pomalował Scott, śpiewały niczym wiatr nad wodą i woda nad kamieniami. Przez jakiś czas podążała za nimi para małych, czarno-złotych ptaków, nurkujących i krążących wokół głowy Ko, nieprzerwanie wyśpiewujących mu trele do kosmatych uszu. Właściwie ani razu im nie odpowiedział, co przyniosło Joey niejasną ulgę, lecz bez wątpienia słuchał.

Chwilami Joey miała stuprocentową pewność, że przez całą drogę ktoś bacznie ich obserwuje. Z początku przystawała raptownie i szybko odwracała głowę, nigdy jednak nic nie było widać, a ten ruch przywodził na myśl Abuelitę, która żartobliwie namawiała wnuczkę, aby jeszcze raz spróbowała zajrzeć sobie do ucha. Zasmucona myślą o Abuelicie Joey przestała się odwracać, ale wciąż czuła, że coś, może niebieskie drzewa, może wiatr, obserwuje ją, bada, głęboko się nad nią zastanawia.

Przyklękła nad jasnym strumykiem przepływającym przez jedną z polanek i zawołała na Ko, żeby zaczekał. Woda była rozkosznie chłodna; jej smak wywołał w całym ciele dreszcze. Kiedy Joey się pochyliła, aby jeszcze wypić, ujrzała własną twarz, ciemną, kościstą, pospolitą, i jak zawsze pokazała jej język. Tym razem jednak inna twarz wyłynęła zza niej, spod niej,

przez nią, rozbijając odbicie na bąbelki chichotu, pokazując jej spiczasty zielony język i śmiejąc się z absolutnie bezwstydnej radości, jak ta nieustanna muzyka. Joey z wrzaskiem zerwała się na nogi, jak szalona pognąła za satyrem, zatoczyła się i o mało nie przewróciła. Podtrzymał ją szorstkimi, zaskakująco silnymi rękami, mówiąc:

- Uspokój się, córko, stary Ko jest tutaj. Czego się tak złą kłaś?

Joey się oburzyła, kiedy na jej odpowiedź zareagował śmiechem; zgięty w pół klaskał w dłonie i walił się po koźlich udach.

- Dziecko - wysapał, ledwie odzyskał głos - córko, widziałas jallę ze strumienia, nic więcej. One są nieszkodliwe jak piskorze i równie pospolite, nigdy nie zwracaj na nie uwagi. Mają wulgarnie poczucie humoru. - Nagle spowaźniał i dodał: -Te w rzekach to co innego. Dorosła rzeczna jalla wciągnęłaby cię głęboko i do tej pory zdążyła oskubać do kości. Nigdy, przenigdy nie zbliżaj się do rzeki, chyba że jesteś ze mną lub z Najstarszym. Rozumiesz, córko?

- Tak - szepnęła Joey, po czym spytała: - Dlaczego wciąż nazywasz mnie *córką*? Chcę powiedzieć, że jeśli akurat teraz coś wiem na pewno, to że nie jestem twoją córką. - Bojąc się urazić satyrę, dorzuciła pośpiesznie: -To znaczy, nic nie szkodzi, nie ma sprawy, ale *nie jestem*.

Ko się uśmiechnął, jego żółte oczy zabarwiły się na chwilę ciepłym złotem i rozbliły ciemnymi drobinkami.

- Kiedy ktoś ma sto osiemdziesiąt siedem lat jak ja - odparł - wolno mu nazywać każdego, jak zechce. Ja mówię do ciebie córko, bo mi się tak podoba, i to jedyny powód. Chodź, do Najstarszych mamy jeszcze daleko. Idź równo ze mną.

Joey trzymała się jego boku i tak wędrowali dalej: przez jakiś czas znowu pod osłoną niebieskich drzew, potem po stonkowo otwartej przestrzeni, poznaczonej gajami o wiele mniejszych, delikatniejszych z wyglądu drzew, które niczym ozdoby z barwionego szkła tkwiły wśród niskich pagórków upstrzonych kwiatami. Joey nie rozpoznawała żadnego z tych kwiatów, lecz ich zapach miał w sobie coś tak niejasno, boleśnie znajomego, że znów musiała pomyśleć o Abuelicie. Abu-elicie, która mówiła za głośno, bo głuchła, i umyślnie coraz częściej posługiwała się hiszpańskim, w miarę jak rodzice Joey

używali go coraz rzadziej. Abuelicie, która kochała każdą muzykę, zwłaszcza muzykę wnuczki, i która pachniała lepiej niż ktokolwiek na świecie.

Joey stanęła nieruchomo i pomyślała: *Cały kraj pachnący jak Abuelita. Ojej, teraz tęsknię do domu, choć przedtem nie zwracałam na niego uwagi. Abuelito, ty mnie w to jakoś wrobiłaś, nie wiem jak. Niech nic ci się nie stanie do mojego powrotu. Słyszysz, Abuelito?*

Kiedy dogoniła Ko, powstrzymał ją wyciągniętym ramieniem. Bez słowa wskazywał na odsłonięte skały dokładnie przed nimi. Biały wąż, nie śpiesząc się, przecinał ścieżkę. Był grubszy niż noga Joey, ale nie dłuższy, w kolorze śniegu widywanego w mieście i dwugłowy. Głowa przy ogonie wyglądała na uszpięta; w każdym razie miała zamknięte oczy i wlokła się w kurzu z resztą ciała. Ale w miarę jak wąż się zbliżał, szeroko rozwartymi, lśniącymi czarnymi oczami w przedniej głowie z ukosa rzucił Joey i satyrowi wściekłe spojrzenia, ostrzegawcze i pogardliwe. Po chwili namysłu Ko zrobił krok w jego stronę: ze środków oczu tego stworzenia trysnął natychmiast czerwony żar, łeb podniósł się szybko na grubej szyi, błysnęły długie kły wydzielające szary, przezroczysty śluz. Ko się cofnął, a wąż ruszył dalej i skrył się w podszyciu przy ścieżce. Joey słyszała, jak powoli, z trzaskiem sunie przed siebie, choć dawno już zniknął z oczu.

- Jakhao - objaśnił Ko. - Nikt go właściwie nie lubi.

Rażno ruszył do przodu, lecz Joey sterczała w miejscu, bo nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

- To coś ma dwie głowy - krzyknęła w ślad za Ko. - Dwie głowy!

- Mówiłem ci, że to *jakhao* - odparł satyr przez ramię. - Pośpiesz się, córko.

- Nie jestem twoją córką! - wrzasnęła Joey. - Ja tu nie należę! Powinnam spać w łóżku w *moim* pokoju, moim pokoju. Nie należę do miejsca, gdzie są satyrowie i dwugłowe węże, i latające rzeczy, które gonią i próbują zabić, a ja nie wiem nawet, co to takiego! - Uprzytomniła sobie, że wpada w histerię, lecz ta świadomość była równie odległa jak dom. - Co to za miejsce i czyja to muzyka? Próbowałam tylko odnaleźć muzykę, nie robiłam nic więcej. - Poczwała łzy na policzkach, co ją rozwścieczyło, lecz one kapały dalej.

Ko się odwrócił i znów przez chwilę obserwował ją z twarzą pozbawioną wyrazu. Następnie podszedł i objął ją w milczeniu. Rogatą głowę niezdarnie przycisnął do jej piersi, szorstkimi włosami na ramionach drapał jej skórę, a z bliska śmierdzał gorzej niż Kenny Rowles, który siedział obok niej na matmie. Ścisnął ją jednak dość delikatnie; Joey objęła go wpół i płakała, dopóki starczyło jej łez.

Kiedy przestała, Ko trochę ją od siebie odsunął i rzekł:

- To Shei'rah, jak już mówiłem. Taki sam świat jak twój, jak mnóstwo innych przemykających obok siebie wśród gwiazd. - Poklepał ją po plecach. - Nic więcej nie wiem. Zabieram cię jednak tam, gdzie możesz się dowiedzieć.

Joey chlipnęła.

- Moi rodzice się obudzą i pomyślą, że nie żyję. Pomyślą, że ktoś mnie porwał, przecież często tak się zdarza. - O mało znów nie zaczęła płakać, ale zapanowała nad sobą. - Dobra - powiedziała. - Mamy zobaczyć Najstarszych, więc to zróbmy. Dobra.

Choć droga pięła się pod górę i opadała w dół, szło im się łatwiej niż w zalesionym terenie. Błękit nieba był tak intensywny, iż Joey właściwie nie mogła podnieść oczu: sądziła, że jeśli to robi, zacznie się unosić, wzlatywać bez końca. Spytała Ko o perytony.

- Zobaczyłam coś w rodzaju nadciągającej chmury, a one robiły ten straszny hałas. Nie mogłabym ci powiedzieć, jak jeden z nich naprawdę wygląda.

- Nigdy nie mówimy o jednym perytonie - w zadumie odparł satyr. - Nie umiemy... nie potrafimy sobie wyobrazić pery-tona jako takiego. Zawsze latają ogromnymi rojami, stadami - chmurami, jak ty mówisz - polują na wszystko, co się rusza, a co złapią, pożerają na miejscu. Nie zostawiają nic, nic; jest powiedzenie, że perytony zjadają nawet twój cień.

Joey przypomniała sobie mrożący ciężar cienia samych perytonów, który padał na jej ramiona, i lekko zadrżała.

- Okay, mniejsza o perytony - rzekła. - A coś w wodzie, ta jalla, dwugłowy wąż, jak go tam nazwałeś. I... - Zagapiła się na krechę złoto-szkarłatnej błyskawicy, która nagle przecięła zawrotnie czyste niebo, po czym zrozumiała, że to ptak, ptak lecący z taką prędkością, iż zniknął z pola widzenia, za-

nim sobie uświadomiła, że coś, co musnęło jej oczy jak rozpalone żelazo do piętnowania, jest tylko pięknem. - I to, to! - zawodziła. - *To! Cóż to za miejsce?* Wszystko, na co się patrzy, albo śmiertelnie przeraża, albo łamie serce. Chcę wiedzieć, co to za miejsce.

- To był miri - odrzekł Ko nieporuszony. - Miałaś wielkie szczęście, że zobaczyłaś go pierwszego dnia spędzonego w Shei'rahu. Trafia się najwyżej jeden miri na raz, a kiedy się zestarzeje, podkłada ogień pod swoje gniazdo i spala się na popiół. Po wygaśnięciu ognia pojawia się nowy, młody miri. Co o tym myślisz, córko?

Joey dygotała.

- Feniks - szepnęła. - To feniks. Czytamy o nich w szkole. Są jednak zmyślane, legendarne. Jak satyrowie czy jak tam się nazywają.

Ko podrapał się i wrzucił ramionami.

- Najstarsi ci wszystko wyjaśnią.

- Och, racja - rzekła Joey z naciskiem. - Najstarsi. Lepiej opowiedz mi o Najstarszych. Włeczmy się taki kawał drogi, żeby ich zobaczyć.

- Nie mogę, córko, wyjaśnić, czym są Najstarsi! - Ko roześmiał się niewinnie rozradowany i wziął ją za rękę. - Są sobą - podjął. - Zawsze byli sobą, wszyscy, z każdego z trzech rodzajów. Nie znajduję dla nich innego określenia. Są Najstarsi.

- Ty masz z górą sto osiemdziesiąt lat - rzekła Joey. - A oni są Najstarsi? - Ko potaknął radośnie. -1 są ich trzy rodzaje? - Wyobraziła sobie telewizyjnych przybyszy z innego świata, z olbrzymimi, rozmaicie pomarszczonymi łysymi czaszkami.

- Jeden rodzaj przypomina niebo - odparł Ko. - Drugi jest podobny do ognia, a trzeci jest ziemią, jak ziemia. Ale wszyscy są Najstarszymi.

Joey westchnęła.

- Doskonale. Tak czy owak, powiedz mi jedno. Czy Najstarsi... czy to ich muzyka? Muzyka, która tam rozbrzmiewa?

Kiedy mówiła, jeden róg, nagle tak bliski jak sam Ko, zagrał melodię wdzięczną i smutną niczym długi lot spadającego liścia; podchwycił ją raz, uniósł trochę wyżej i pozwolił jej poszybować, gdzie zechce.

Ko przerwał milczenie:

- Nie, córko, Najstarsi nie tworzą muzyki. Najstarsi są muzyką.

Joey nie odpowiedziała.

Droga pięła się teraz wciąż pod górę, na skos przez wąską dolinę upstrzoną drzewami cierniowymi o trójkątnych liściach srebrzyście połyskujących w słońcu. Muzyka swobodnie wznosiła się i opadała, przeplatała się, jak kwitnąca winorośl, przez ciche szuranie rozszczepionych kopyt Ko na drodze. Czasem się wydawało, że gra tylko jeden czy dwa rogi; czasami co najmniej cztery; niekiedy mogło ich być kilkanaście i więcej, cała orkiestra złożona z Indygów. Joey próbowała ich słuchać wyszkolonymi, obeznanymi z muzyką uszami Johna Papasa, ale nie mogła.

Kilka małych stworzonek, które spały na oświetlonym przez słońce głazie, ocknęło się, aby obserwować idących. Joey prawie przypadkiem zauważyła jakieś ich podobieństwo do smoków z ilustracji, choć miały nie więcej niż sześć cali długości, i piaskowy kolor skał pod ich nogami. Kiedy wzrok Joey napotkał ukryte pod osłoną grubych powiek oczy największego smoka, ten sykiem rzucił słabe wyzwanie i opiekuńczo rozpostarł ogorzałe skrzydełka nad małymi.

Ko stwierdził:

- Shendi, w tym roku pokazały się wcześniej - jakby z miłym zdziwieniem komentował pojawienie się wiosennych kwiatów.

Po drodze Ko zrywał dla Joey owoce - słodkie, ciężkie fioletowe figi i coś, co nazywał javadur. Przypominało to krzyżówkę mango z awokado, miało zapach wilgotnego psa, a smak mlecznego sosu. Joey - która nie miała w ustach nic od północy, kiedy to na innym świecie wypita szklankę mleka czekoladowego - pałaszowała tyle javadurów, ile Ko potrafił znaleźć, i prosiła o więcej. Uradowany satyr powiedział:

- Zatrzymaj się tu i odpocznij, córko. Najlepsze javadury rosną w głębi lasu. Te są zaledwie jak ich cienie, zobaczysz. Czeka na mnie.

Joey z wdzięcznością klapnęła na ziemię, oparła się plecami o drzewo z korą tak pełną przyjemnych nierówności jak olbrzymi złoty ananas i natychmiast zapadła w sen. Śniła jej się BeeBee Huang, najlepsza szkolna przyjaciółka. We dwie kąpały braciszka Joey, Scotta, z jakiegoś niejasnego powodu, a BeeBee

mówiła, że muszą to robić bardzo ostrożnie, bo niesamowite rzeczy kryją się czasem w bańkach mydlanych i mogą zatkać Scottowi nos tak, że przestanie oddychać. Joey słyszała w swym życiu o gorszych możliwościach. Właśnie miała to powiedzieć, kiedy zdała sobie sprawę, że sama ma coraz większe kłopoty z oddychaniem. W nosie świdrował jej zapach jakby palonych śmieci, czuła, chociaż niewyraźnie, że bardzo boli ją szyja. Scott i BeeBee zniknęli, ktoś natomiast krzyczał gdzieś donośnie, głosem nieomal znajomym. Joey otworzyła oczy.

Zimna, drapiąca dłoń szczerze zakrywała jej usta; inne ręce boleśnie ścisnęły ją pod pachami. Dopiero walnięta gałęzią w głowę zorientowała się, że jest nad ziemią, a ktoś wytrwale, z nieubłaganą siłą ciągnie ją do góry. Gniewny głos rozbrzmiewał dalej, złote liście dokoła niej syczały i szeleściły - czy też były to inne głosy? Zdążyła odnotować, że dłoń na jej ustach jest szorstka od łusek, po czym wypuszczona z objęć potoczyła się między sękatymi gałęziami i jak długa rozciągnęła się na gołej ziemi. Tylko przez moment widziała spoglądające na nią z góry twarze: złote, z surowymi zielonymi oczami; twarze gadów, lecz spłaszczone, a nie spiczaste, z uszami absurdalnie podobnymi do uszu pluszowych misiów. Potem zniknęły przysłonięte konarami.

Kiedy Joey wreszcie nabrała tchu, co zdawało się trwać całe wieki, usiadła i wciągała powietrze, aby zawołać Ko. Wtem zamarła z wciąż otwartymi ustami, bo patrzyła prosto w palące niebieskie oczy In dyga. Kucał przy niej, nieziemsko piękny, jak zawsze, ale prawie ludzki pod wpływem złości, z jaką się do niej zwracał.

- Co z tobą jest, dziecko z innego świata? Więc nie masz ani krztyny rozumu?

Joey w oszołomieniu pokręciła głową i roztarta kark i ramiona. Wszystko ją bolało, zaczynały nią wstrząsać gwałtowne dreszcze.

- Jesteś na tyle głupia - powiedział Indygo - że zasypiasz pod drzewem cryak? Szczęściem dla ciebie, na które nie zaszłujesz, byłem w pobliżu.

- Co ty tu robisz? - szepnęła Joey. - Gdzie jest Ko? Chcę Ko.

Chłopiec prychnął, zdumiewająco podobnie jak John Pappas. Zaczął mówić, lecz satyr już był na miejscu, dla pocieszenia obejmował ją lepkimi ramionami o brzydkim zapachu.

- Jestem tu, córko, oto stary Ko i oto ty, cała i zdrowa. Musisz tylko trochę odpocząć. - Jego głos jednak drżał prawie tak mocno jak ona.

- Odpocznij trochę - brutalnie przedrzeźniał go Indygo. - Odpocznij pod cryakiem, jak obiad podany na świeżym zielonym liściu. Co cię opętało, tirujo, że pozwoliłeś jej tu zasnąć?

Ko pochylił głowę i odparł prawie niedosłyszalnie:

- Myślałem... mówiono, że się stąd wyniosły. Criyaqui tak często wędrują, wiesz przecież... nie widziano ich w tym lesie od trzech, czterech pór roku... - Ostatnie słowa wypowiedział żałośnie cicho, z ustami przy włosach Joey.

- Wróciły - rzekł Indygo. - A *tiruje* pierwsi powinni o tym wiedzieć.

Joey przenosiła wzrok z niego na Ko i z powrotem. Głos satyra zabrzmiał silniej, kiedy ponownie się do niej zwrócił.

- Nie proszę cię, córko, o wybaczenie. Ale... ale naprawdę myślałem, że drzewa są bezpieczne. Rzeczywiście tak myślałem.

- Czym one są? - niepewnie zapytała Joey. - Czego... chodzi mi o to, czego chciały? - Nawet z zamkniętymi oczami nadal widziała płaskie, zachłanne węzowe oczy w złotych twarzach.

- Nikt nie wie - odparł Ko. - Nikt z porwanych przez criyaqui nie wraca. Żyją na tych drzewach, a ilekroć mogą, z ich gałęzi chwytają moich krewniaków, tak jak o mała nie złapały ciebie. Nigdy nie znajdujemy kości ani... ani niczego, więc nie wiemy... -Tak mocno przyciskał do siebie Joey, że rozboleły ją nowe miejsca.

- Nie wierzę - powiedziała. -I tyle. To wszystko i takie jest proste. Najwyczejniej nie wierzę, że to się stało. Ty też - zwróciła się do Ko, lecz wbrew zapewnieniom ukryła twarz w jego śmierdzących włosach.

Usłyszała pytanie Indyga:

- Gdzie ją prowadzisz? - i odpowiedź Ko:

- Oczywiście do Najstarszych. Gdzie miałbym prowadzić przybysza z innego świata?

Indygo odezwał się znowu głosem dziwnie stłumionym:

- Oni nie są... - Urwał, po czym dodał jeszcze ciszej: -Wiesz, jak nagabywani są Najstarsi?

- Nadal pozostają tym, kim są - zadziwiająco gwałtownie odrzekł Ko nad głową Joey. - Wiesz lepiej ode mnie, że

w Shei'rahu zmienia się wszystko prócz Najstarszych. Ja nie dostrzegam w nich różnicy, ufam ich rozumowi nie mniej niż kiedyś.

Indygo milczał przez chwilę. Jego głos zdradzał niezwykle znużenie, kiedy rzekł wreszcie:

- Na pewno powinienem mieć więcej rozumu i nie mówić z tirujem o Najstarszych. Toteż prowadź ją, gdzie chcesz, ale przynajmniej trzymaj z daleka od drzew cryak. Byłby ci za to wdzięczny stary człowiek po drugiej stronie Granicy.

Joey nie słyszała, jak odchodzi.

- Bardzo przepraszam, córko - rzekł nieszczęsny Ko, kiedy Joey pokręciła głową, aby sprawdzić, czy szyja jeszcze działa. - Gdyby nie Indygo...

- Nawiasem mówiąc, jak się tu dostał? - zagadnęła Joey. - Przeszedł za mną przez Granicę czy coś takiego?

Mimo całego oczywistego nieszczęścia Ko się uśmiechnął.

- Nie mówiłem ci, że Granicę przekracza się w obie strony? Może paru mieszkańców Shei'rahu zna wasz świat nie gorzej od ciebie.

- Indygo jest stąd - wolno powiedziała Joey. - Z Shei'rahu. - Znów pokręciła głową i napiętkiem lekko uderzyła się w ucho, jakby miała w nim wodę. - Już dawno należało się domyślić, prawda? Każdy, kto tak wygląda. Dobra. -Wstała i otarła usta, aby zmazać z nich kwaskowaty chłód pozostawiony przez ręce criyaąui. Okay. Naprzód.

POD WIECZÓR długa droga wreszcie zaczęła biec po równym terenie i Joey dostrzegła plamę lasu na horyzoncie. Mimo dużej odległości widziała, że te drzewa nie są niebieskie ani złote, lecz czerwone: nie jesiennie szkarłatne, a ciemnorubinowe, prawie czarne w wieczornym świetle, zarówno pnie, jak liście. *Zupełnie jakby miały w sobie krew, na podobieństwo ludzi, nie ten chlorofil.* Kiedy się przybliżyli, spostrzegła, że ten las jest o wiele większy od wszystkich mijanych w ciągu dnia i że Ko prowadzi ją w sam jego ciemno rozżarzony środek.

- Tu mieszkają Najstarsi - rzekł. - Możemy ich znaleźć lub nie, ale to ich dom.

- *Możemy ich nie znaleźć?* - powtórzyła za nim Joey. - Och, znakomicie. Moja rodzina już zleciła poszukiwania FBI i Tak-

tycznemu Dowództwu Lotniczemu, pan Papas nie będzie wiedział, co się ze mną stało, opuszczam ważny egzamin z matematyki, to jest ocena na okres, mój brat Scott pewnie już przeniósł wszystkie swoje graty do mojego pokoju. A ty mi mówisz, że możemy nawet nie znaleźć ludzi, którzy potrafią odstawić mnie do domu?

- Mówiłem, że Najstarsi będą wiedzieli, co zrobić - odparł satyr. - Uwierz mi, córko, że nie ma żadnego znaczenia, czy ich zobaczymy, czy nie. I tak będą wiedzieli, co jest najlepsze dla Shei'rahu.

- Dla Shei'rahu? - zdumiała się Joey. - A dla mnie?

- To na jedno wychodzi. - Od czasu spotkania Joey z criyaqui Ko nie mówił z taką pewnością siebie. Potem jednak zamilkł, a po chwili odezwał się głosem cieńszym i mniej zdecydowanym: - Najstarsi... to trochę tak, jak powiedział Indygo. Musisz pamiętać... nie są może w pełni tym, czym byli. Ale pamiętaj, tylko może.

Joey zirytowana klepała się rękami po bokach.

- Nie wiem nawet, czym są! - Lecz muzyka tanecznie wleciała w górę z głębi czerwonego lasu, mocna i dziwna, nadając wszystkiemu, co czuła Joey, poczucie sensu, jakiego nie miała żadna z zapamiętanych przez nią rzeczy. Powiedziała: - Okay. Okay, mniejsza z tym, Ko. - Po raz pierwszy zwróciła się do satyra po imieniu.

Od momentu kiedy razem weszli pod drzewa na jego skraju, czerwony las - Ko powiedział, że nazywa się Lasem Zachodzącego Słońca - sprawiał na Joey wrażenie żywej istoty. Najniższe konary wznosiły się nad nią wysoko, ich cienie ciepłem kładły się na jej twarz, a gdziekolwiek postawiła stopę, ściółka leśna jakby pulsowała w odpowiedzi. Również muzyka Shei'rahu chyba pulsowała, nie tylko wszędzie tam, gdzie Joey zwróciła oczy bądź uszy, lecz także w niej samej, przemawiała do niej intensywnie w ukrytym miejscu, gdzie układała własną muzykę. Joey poczuła, że znajduje się w dobrotliwym zakleśnięciu olbrzymich rubinowych dłoni, i odetchnęła.

W LESIE ZACHODZĄCEGO SŁOŃCA nigdy nie było całkiem ciemno, niezależnie od tego jak głęboko Joey i Ko zanurzali się w gęstwinę. Choć słońce właściwie już się skryło, las nadal ja-

rzył się od środka, wcale nie chłodniejszy. W świetlistej ciszy Joey słyszała niespokojne czmychanie istot o małych stopkach, bezgłośnie westchnienia szerokich skrzydeł nad głową i ciężkie, rozważne człapanie w pobliżu, które wszędzie indziej byłoby przerażające. Ale satyr ciągnął ją za rękę, mówił:

- Teraz tędy, córko.

Muzyka zaś szemrała:

- Tędy, tędy.

Joey podążała za nią.

Wtem czerwone drzewa się rozstały, rozdzieliły jak wysoka trawa pod podmuchem wiatru, a Joey i Ko wyszli na polankę pod niebem, tak gęsto usianym wirującymi gwiazdami, jakby w Lesie Zachodzącego Słońca padał śnieg. Najstarsi czekali pośrodku polany.

Jeden był wspaniały i stary jak same drzewa, a tak czarny, że noc przy nim bladła. Drugi, niebieskoszary jak chmura burzowa, koił wzrok swoją obecnością; trzeci, szczuplejszy i dłuższy, z wdzięcznym pędzelkiem brody, wyglądał na zrobionego z morskiej piany i ozdobionego zieloną fosforescencją. Stali razem, z głowami podniesionymi wysoko, z pięknymi ogonami unoszącymi się jak duchy w czerwonym nocnym powietrzu i długimi muszlowatymi rogami rozkwitłymi w poświacie gwiazd. Muzyka rozbrzmiewała wokół nich.

Joey raz załomotało serce i podskoczyło do gardła na widok ich oczu. Oczy całej trójki Najstarszych były obrzmiałe i zamknięte, pokryte tak grubą niebieskozieloną skorupą, że wyglądały niemal jak ozdobione klejnotami. Joey pojęła, że Najstarsi są niewidomi.

Rozdział czwarty

Joey obudziła się w słońcu, zwinięta na boku pod czerwonym drzewem, przykryta miękkimi gałęziami jak kocem. Patrzyły na nią dwa jednorożce: ten z wyglądu mniej masywny od pozostałych, raczej twór morza i wiatru, i drugi, o wiele mniejszy, koloru światła gwiazd; roztańczony, nerwowy, za młody, aby być bez ruchu, zbyt niespokojny, aby prezentować się po królewsku. Zbudził ją lekkim bębnieniem przednich nóg o ziemię. Joey aż zatkało, kiedy sobie uprzytomniła, że jego oczy o księżycowej barwie zaczyna powlekać cieniutka skorupa, która oślepiła trójkę wielkich Najstarszych.

Mniejszy jednorożec rzekł entuzjastycznie:

- Mamo, widzisz? Nie śpi!

Joey usiadła, wytrząsając z włosów liście.

- Cześć - powiedziała głosem schrypniętym i zmieniającym wysokość, jak zawsze z rana. - Gdzie jest Ko?

Drugi jednorożec postąpił naprzód, z rozwagą, płynnym ruchem żywego srebra. Ślepotą chyba nie utrudniała mu kroków ani nie przeszkadzała patrzeć prosto na Joey.

- Jestem Fireez, a to mój syn Tourią. Dobrze spałaś? - Głos miała Fireez cichy i beztroski, z błyskiem humoru tuż pod powierzchnią.

- Chyba tak - odparła Joey. - Miałam mnóstwo zwariowanych snów, choć nie jestem pewna, czy to były sny. - Urwała, po czym dodała powoli: - Jesteś Najstarsza. Mówił mi Ko.

- Jesteśmy najstarsi z Najstarszych - odrzekła Fireez. -Prócz niego. - Skinieniem głowy wskazała syna, który oglądał

turystyczne buty Joey. Tam, gdzie pocierał je rogiem, błoto i brud kruszyły się i odpadały, a buty nabierały takiego połysku jak róg.

- Był jeden czarny - powiedziała Joey. Fireez trochę ściszyła głos.

- To Pan Sinti.

Tourią wtrącił się podniecony:

- Zasnęłaś, a on cię tu przyniósł na grzbiecie! Sinti nigdy tego nie robi! Mieszka zupełnie sam, nikt go nie widuje, prawie nigdy... Ja nigdy przedtem go nie widziałem, aż do wczorajszego wieczora. Musisz być bardzo ważna jak na mieszkankę innego świata...

- Tourią. - Jego matka nie powiedziała nic więcej, ale młody jednorożec natychmiast zamilkł. - Pan Sinti jest najstarszy ze wszystkich - oznajmiła Fireez. - Nie mamy słowa na jego określenie. - Wybuchnęła śmiechem, nagłym, niedorzecznym, cudownym cichym rechotem, i dodała: - Wybacz mi złe wychowanie, ale ja też jestem ciekawa, co między wami zaszło, kiedy cię niósł tutaj. Czy się do ciebie odzywał?

Joey sztywno dźwignęła się na nogi.

- Nie pamiętam. Może. - Zaczęła się uśmiechać i nagle przestała. - Nie, to było we śnie, wiem na pewno. Zdawało mi się, że pyta o Abuelitę, moją babkę. To musiał być sen, bo przecież nie... Chodzi mi o to, że skąd miałby o niej wiedzieć tutaj, w Shei'rahu?

- Pan Sinti wie *wszystko* - wybuchnął Tourią, a matka zwtórowała mu z większym umiarem:

- Chyba dla kogoś tak starego i mądrego, jak Pan Sinti, rzeczy w rodzaju Granic przestają już mieć znaczenie. - Kuksnęła Tourią, który znów przebierał przednimi nogami i najwyraźniej zamierzał jej przerwać. - Cóż, mój syn jest głupi i niegrzeczny, bo liczy sobie niespełna dwa stulecia...

- Zaczekaj - powiedziała Joey. - Zaczekaj, zaczekaj, przepraszam, wybacz. Stulecia? - Wpatrywała się w oboje: w syna nieskończenie zapalczego, zuchwałego jak wróbel; w matkę, uosobienie powoli wzbierającego wdzięku, białą jak morze, a mimo to ustawicznie drżącą na pograniczu morskiego błękitu i morskiej zieleni, z naroślami na oczach, które jakby złośliwie drwiły z jej naturalnego ubarwienia.

- My nie umieramy - wyjaśniła jej Fireez spokojnie. - Można nas zabić, lecz nie umieramy śmiercią naturalną, jak choćby tiruje. Nigdy nawet nie chorowaliśmy... do tej pory.

- Masz na myśli wasze oczy - rzekła Joey. - Naprawdę nie widzicie? Wszyscy? -Wskazała naTourią, który teraz paradował dumnie, z jej butem dyndającym na czubku rogu. - On przecież widzi doskonale.

- Widzę lepiej niż ktokolwiek - puszył się Tourią.

Fireez znów go uciszyła.

- Większość naszych najmłodszych jeszcze widzi, ale nie wszystkie. Spadło to na nas całkiem niedawno, niedługo przed urodzeniem Tourią, i nawet Pan Sinti jeszcze nie zgłębił przyczyny. Powie ci o tym więcej, niż ja potrafię.

Joey głęboko zaczerpnęła tchu.

- Stulecia. - Otrząsnęła się raz i zaczęła wciągać buty, podczas gdy jednorożce czekały, poważne i ciekawe wszystko, co mogłaby zrobić. Wreszcie zwróciła się do nich i rzekła z westchnieniem: - Nie mogłam chyba wczoraj wieczorem po wyjściu z domu ulec wypadkowi i naprawdę trafić do szpitala na oddział intensywnej opieki medycznej? -Tourią zaintrygowany patrzył na matkę. Joey znów westchnęła: - Chyba nie. Dobra, to wszystko jest jak najbardziej rzeczywiste, znajduję się tutaj, a wy naprawdę jesteście jednorożcami i żyjecie wiecznie. Ale jeśli mnie nie widzicie, skąd wiecie, że tu jesteście?

Tourią z zakłopotaniem spojrzął na matkę. Fireez odrzekła łagodnie:

- Wyczuwamy twoją obecność. Rzucasz cień na nasze umysły, jak drzewo, ptak czy woda. Nauczyliśmy się tak poruszać, od cienia do cienia. Nie wymawiamy też słów ustami, jak ty, Ko i inne tiruje. Mówimy naszymi umysłami. Ty słyszysz nas swoim umysłem.

W tej chwili ukazał się Ko z naręczem jaskrawych, wonnych owoców, które sięgało mu do brody. Joey rozpoznała tylko jasadury; z pozostałych wybrała parę okrągłych, czerwonych, trochę podobnych do malinowych pomarańczy (choć smakowały jak banany), i jeden fioletowy, z nalotem jak śliwka, o smaku sfermentowanych melonów. Ko powitał dwa jednorożce grzecznie i oficjalnie, Joey zaś poinformował:

- Po śniadaniu oczekuje cię Pan Sinti.
- Och, och, w porządku. Tak mi się zdaje. - Joey szybko poknęła owoce, otarła usta i spodziewała się, że Ko ją poprowadzi. Satyr jednak przecząco pokręcił głową.
- Idź, gdzie chcesz, a on tam będzie.
Tourią skubał podobną do chmury grzywę swojej matki.
- Mogę z nią pójść? I ja chcę zobaczyć Pana Sintiego. Mogę pójść?
- Będiesz wiedział, kiedy on cię zechce - odparła Fireez. Joey patrzyła to na jednorożce, to na satyra. Na koniec powiedziała cicho:
- Stulecia. Świetnie. Odwróciła się, wybrała ścieżkę i weszła między drzewa.

W PORANNYM BLASKU Las Zachodzącego Słońca pomrukiwał z zadowoleniem. Dla Joey powietrze miało zapach świeżo upranej bielizny suszącej się na sznurze; drzewa i jasnobrażowa ziemia wydawały lekką woń cynamonu. Kiedy przystanęła, aby się oprzeć o gruby czerwony pień, przez kosmatą korę za plecami wyczuła pulsujące w nim życie. Tuż nad nią ptaszek, złoty jak papier do pakowania prezentów, śpiewał z tak prostym zapałem, że ucichła nawet magiczna muzyka, która przywiodła Joey do Shei'rahu. Lawendowo-zielone stworzenie, niby krzyżówka trytona z modliszką, przycupnęło na jej prawej nodze i wpatrywało się w nią oczami zbyt świadomymi jak na to, czym było.

- Cześć - powiedziała Joey. -Ty też mówisz do mojego umyśłu? - Ale stworzenie umknęło, ledwie się odezwało. Joey poszła dalej.

Czarnego jednorożca zobaczyła dopiero wtedy, gdy już kroczył u jej boku. Tamte trzy były wielkości jeleni, on jednak miał taki wzrost, że musiała zadrzeć głowę, aby mu spojrzeć w oczy, tak okrutnie pokryte klejnotami jak oczy Pani Fireez. Widzące czy niewidzące, do tego stopnia przyciągały wzrok, że zapomniała patrzeć pod nogi, potknęła się i dla złapania równowagi musiała się oprzeć o jego bok. Pod skórą Najstarszego, której ciepło niemal ją zaskoczyło - *jednorożce wyglądają na chłodne, lecz na pewno je wydzielają* - wyczuwała niedosłyszalny śmiech, jak ciche mruczenie kota. Sinti pachniał pomarańczami.

- Muszę wracać do domu - oświadczyła. -To najważniejsze. Owszem, podoba mi się tu, jest naprawdę pięknie i w ogóle, chęć nie zostałabym czas jakiś, ale powinnam ruszać do domu.

Jego głos powoli spłynął po niej od głowy do stóp, niczym woda Shei'rahu.

- Mogę ci wskazać drogę.

Joey przystanęła.

- Możesz? Ale Ko mówił, że nie zdołam wrócić, bo Granica się przesunęła czy coś takiego. Tego nie rozumiem. Jak może granica się przesunąć?

Czarny jednorożec patrzył na nią z góry, z rogiem jak krecha głębokiej nocy pod czerwonymi porannymi drzewami.

- Bo Shei'rah się przesuwa.

Zamilkł na chwilę, a kiedy znów przemówił, starannie rzucił słowa w milczące oszołomienie Joey.

- Jest całe mnóstwo światów, lecz nasz Shei'rah łączy się z waszym światem w sposób jeszcze dla mnie niezrozumiały. Płyniemy obok, nasuwamy się na niego jak cień chmury. Możemy tkwić w miejscu jeden dzień albo tysiąc lat... to ShePrah dokonuje wyboru. Lecz zawsze jest Granica, a ten, kto naprawdę czuje naszą muzykę, może tę Granicę przekraczać w obie strony, zawsze podczas pełni księżyca. Nie trzeba nic więcej, aby wejść albo wyjść z Shei'rahu - prócz gorącego pragnienia, muzyki i odrobiny księżyca.

- To fantastyczne - szepnęła Joey. - Och, takie *fantastyczne*.

- Stanęła raptownie i obie ręce zanurzyła we włosach. -O mój Boże, od jak dawna tu jestem? Nie wiem, dlaczego straciłam rachubę czasu, moi rodzice będą *szaleli*, muszę już iść.

Choć nie dotykała Sintiego, znów rozbrzmiało w jej ciele jego łagodne rozbawienie.

- Czas w Shei'rahu jest inny. Po powrocie przekonasz się, że nie zauważono twojej nieobecności. Obiecuję.

- Zaczekaj - powiedziała Joey. - Zaczekaj, zaczekaj. Twierdzisz, że mogę tu zostać, jak długo zechcę, a kiedy wrócę do domu, nadal będzie wczorajszy wieczór? Jej, przepraszam, nie zamierzam okazać lekceważenia, ale brzmi to niesamowicie. Na samą myśl robi mi się dziwnie w żołądku.

Sinti nie odpowiedział. Joey szła obok niego, usiłując się skupiać tylko na muzyce. Choć o wiele wyraźniejsza i bliższa

w obecności jednorożców, wciąż pozostawała osobliwie nieuchwytna, zuchwale unosiła się znad strumyków, kamieni i czerwonych drzew, tańczyła tam, gdzie chciała. Joey zapytała z wahaniem:

- Dlaczego wy wszystkie ślepniecie? Przecież w ciągu stuleci ktoś mógłby znaleźć przyczynę.

- Ma to coś wspólnego z waszym światem - odparł czarny jednorożec. - Z kontaktem, związkiem między nami. Tyle wiem, tyle widzę, a to za mało. - Głos w jej wnętrzu cicho rozbrzmiewał goryczą. - Jestem Sinti, Najstarszy z Najstarszych, i powinienem być nieskończenie mądry. Nigdy nie zawiodłem moich pobratymców, nigdy nie zawiodłem Shei'rahu. Każdego dnia kolejni tracą wzrok, a nadal żyją w niezachwianym przeświadczeniu, że odkryją lekarstwo. Ja zaś nie mogę pomóc ani im, ani sobie. Nie mogę im pomóc.

- Bardzo mi przykro - powiedziała Joey. - Naprawdę. Robią teraz różne rzeczy z oczami w... w moim świecie, ale to by wam chyba za bardzo nie pomogło. W Shei'rahu.

Sinti nic już nie dodał i razem szli dalej. Joey widziała, jak Las Zachodzącego Słońca ociepla się i dojrzewa przed czarnym jednorożcem, widziała nieznanne kwiaty pośpiesznie otwierające swe kielichy, potrafiła wypatrzeć zwierzęta i półzwierzęta, które przycupnięte w podszyciu obserwowały Pana Sintiego; i słyszała, jak sam las wydaje dźwięk niemal za cichy, aby był słyszalny.

Sinti zatrzymał się gwałtownie i Joey znów poczuła rozkoszny, onieśmielający zawrót głowy, jaki wywołuje długie wpatrywanie się w oczy Najstarszych, niezależnie od tego, czy oni widzą, czy nie.

- Posłuchaj - rzekł Sinti. - Jest coś, co nas dotyczy, a co ja, jakiś śmiertelnik powinien wiedzieć. Słuchaj uważnie, Josephine Angelina Rivera.

Wypowiedziane jego bezdźwięcznym głosem imiona i nazwisko Joey brzmiały perłście i harmonijnie, czego nigdy by się nie spodziewała. Potulnie kiwnęła głową, Sinti zaś oznajmił:

- Możemy się zmieniać. Możemy wyglądać jak wy.

Joey znów potaknęła. Sinti mówił dalej:

- Nie często, nigdy nie robimy tego często. Ja nie zmieniałem się od bardzo dawna i większość naszych zapomina, że

w ogóle to potrafią. Ale tak jest... możemy przybierać ludzką postać i przez Granicę przechodzić do waszego świata, co niekiedy robimy. Spotykałaś już Najstarszych, Josephine Rivera. Między drzewami za jego wysokim grzbietem Joey dostrzegła ruch i rozległą połąć zieleni, a z większej odległości doleciała do niej rozigrana muzyka Shei'rahu. Sinti podjął:

- Od zarania naszych dziejów zawsze kilku z nas przynosi ło się do was. Na ogół pozostają tam krótko, chwilę, według waszego czasu, na tyle długo jednak, aby ich ujrzeć w przelocie, nie uwierzyć w nich i nigdy ich nie zapomnieć. Ale są inni, nie liczni... nie natrafiłaś na legendy o nieśmiertelnych wędrowcach, znanych w różnych miejscach pod różnymi imionami, którzy pojawiali się co kilka pokoleń? To byli Najstarsi, uczeni i odkrywcy, kartografowie sporządzający mapy waszego świata. Lecz i ci z czasem wracają do Shei'rahu, bo muszą. Wasz świat nas zabija, większość prędzej, część później. Nie potrafimy o tym zapomnieć.

Joey pomyślała o Indygu, chłopcu jasnym jak nóż w mroczkach sklepu muzycznego Papasa, grającym pierwsze nieoczekiwane radosne nuty czegoś, za czym przywędrowała z jednego świata do drugiego. Próbowwała zebrać się na odwagę i zapytać Sintiego o Indyga, ale nie znajdowała słów, więc paplała:

- Kiedy wy... kiedy Najstarsi przybierają naszą postać, co się wtedy dzieje z rogami?

- Rogi oddzielają się od nas podczas Zamiany - odparł Sinti.
- Zawsze je ze sobą zabieramy. Musimy, bo w przeciwnym razie nie moglibyśmy wrócić do domu. A Najstarszy, który nie może wrócić do Shei'rahu, umrze.

Joey poczuła nagły chłód i zadrżała w łagodnych promieniach porannego słońca.

- Ale gdyby ktoś zgubił swój róg czy go sprzedał...

Czarny jednorożec już ruszył dalej; teraz odwrócił się i popatrzył na Joey, a ona raptem zlekła się bardziej niż wtedy, kiedy ścigały ją perytony. Zrobiła krok do tyłu i znów usłyszała w swym wnętrzu głos Sintiego.

- Nie wiem, co znaczy sprzedał, Josephine Rivera.

Z tymi słowami zniknął, tak samo bezgłośnie, jak się pojawił, a tak szybko, że Joey nie potrafiła określić, gdzie się udał. Zaczęła za nim wołać, co wydało się dziwne i aroganckie. Po

krótkim wahaniu zawróciła i prędko powędrowała sama, patrząc prosto przed siebie, dopóki nie dotarła na skraj Lasu Zachodzącego Słońca.

I TAM, NA OŚWIETLONEJ, bezdrzewnej równinie, jasnej od dzikich kwiatów i rozpościerającej się daleko, aż po wzgórza w kolorze morskiej zieleni, a za nimi wzgórza w kolorze morskiego błękitu, Joey ujrzała Najstarszych. Były ich dziesiątki, wiele dziesiątków, wszelakiej maści, nie tylko białych, jak jednorożce z oglądanych przez nią ilustracji, lecz także brązowych, szarych jak chmura gradowa, czarnych jak Pan Sinti, ciemnoczerwonych jak drzewa w Lesie Zachodzącego Słońca, a nawet parę złocistoróżowych jak brzask. Jedne się pały, inne ganiały się z upodobaniem, a najmłodsze walczyły na małe rogi, agresywnie swawolne; niektóre stały w grupkach, z głowami złożonymi na grzbietach towarzyszy, inne, całkiem nieruchome, trzymały się na uboczu - i świeciły na równinie, wypełniając i przepelniając oczy Joey, jak muzyka ich obecności przepelniała jej serce. Oślepiąca, w zachwycie, niebaczną na nic szła w ich stronę.

Jednorożce nie zwracały na nią uwagi, dopóki nie znalazła się całkiem blisko. Głowy podnosiły się jedna po drugiej i coraz szerzej rozchodził się wśród nich szmer dźwięku. Nie było to przenikliwe rzenie spłoszonych koni, lecz ciche wołanie na półnucie, szybkie i ptasie. Parę jednorożców odskoczyło od niej gwałtownie, lecz większość nie ustąpiła z drogi i nie usunęła się na bok, aby ją przepuścić. Dwa natomiast ruszyły prosto na nią. Takich jeszcze nie widziała: oba czerwone, wysokie jak Sinti, lecz zdecydowanie bardziej zwaliste, z szyjami mocno umięśnionymi, aby mogły utrzymać rogi długości dobrych trzech stóp. Kopyta ich były większe, grzywy i ogony bujniejsze, bardziej szczeciniaste, a zbliżając się do niej, wydawały cichy, ostrzegawczy odgłos.

- Nazywam się Joey - oznajmiła donośnie. - Jestem przyjaciółką Sintiego... to znaczy, znajomą. - Stała całkiem bez ruchu.

Czerwone jednorożce zatrzymały się w odległości niewiele większej niż długość rogu. Z bliska, w przeciwieństwie do poznanych przez nią wcześniej jednorożców, wydzielały silny, pier-

wotny zapach, przykry jak zapach lwiej klatki w zoo. Nic nie mówiły, spoglądały tylko na siebie i na Joey, a srogi dźwięk wydobywający się z ich gardzieli miał coraz bardziej głuche brzmienie.

Joey powiedziała:

- Nie robię nic złego.

Nie przekonała się, do czego byłyby zdolne te wielkie stworzenia, bo mniejsza postać przecisnęła się między nimi i dumny głos Touriää, syna Fireez, rozległ się w jej umyśle:

- No, w końcu cię znalazłem! Chodź!

Z tak nieodpartą siłą jak jej braciszek Scott trącał i poszturchiwał Joey niczym holownik, odciągając od dwóch czerwonych jednoroźców. Nie wykonały żadnego ruchu, aby mu przeszkodzić, ilekroć jednak ona się odwracała, aby na nie popatrzeć, widziała śledzące ją poderzliwe oczy.

- Nie zwracaj na nie uwagi, nie mają złych zamiarów - poradził Touriää. - Karkadanny takie już są.

- Jej, są straszne - powiedziała Joey. - Naprawdę cieszy mnie, żeś się pokazał. Jak je nazwałeś?

- Karkadannami - rzucił Touriää od niechcenia. Wygiął szyję i barkiem rąbnął Joey. - Teraz zaczynamy zabawę. Włóż mi na grzbiet.

- Gdzie mam włożyć? - Barki miał Touriää na tej samej wysokości co Joey. - Jestem za duża - zaprotestowała. - Nogi mam za długie, będę za ciężka...

- Włóż - niecierpliwie powtórzył Touriää. - Obejmij mnie nogami pod brzuchem, trzymaj się i nic się nie martw. Jazda, chcę cię pokazać moim przyjaciołom!

Joey trochę ścisnęła w gardle, ale odetchnęła głęboko i wdrapała się na grzbiet Touriää, jak się okazało szerszy, niż sądziła, i o wiele silniejszy. Rozpłaszczona na szyi żrebaka, poczuła zdumiewający przyływ mocy, kiedy poruszył smukłymi nogami i wystrzelił do przodu. Już po drugim kroku ruszył pełnym galopem i Joey nabrała okropnej pewności, że zderzy się z którymś z jednoroźców tak spokojnie pasących się na jego drodze. Ale na ogół bez»podnoszenia głów wdzięcznie schodziły na bok, podczas gdy garstka młodszych stawała dęba, obracała się, przenikliwie odpowiadała na jego wyzwanie i gnała za nim. Jasna połać ziemi dudniła i migotała pod ich kopytami.

Joey podnosiła się powoli, stopniowo, bardzo ostrożnie. Tourią mknął tak prędko, że oczy ją piekły, bo wiatr wyciskał z nich łzy. Cały teren był jaskrawą, zamazaną plamą; głośny jak ulewa tętent kopyt zagłuszał wszelką muzykę. Mocno przyciśniętymi do niego nogami Joey wyczuwała ogromną swobodę, z jaką biegł Tourią, spokój, z jakim oddychał, i rozumiała, że zbytnio się nie wysila. *On się bawi. Po prostu się bawi.*

Srebrzystoszary jednorożec trzymał się po lewej stronie Tourią, czarny po prawej, żaden jednak nie mógł go wyprzedzić. Kiedy Joey wreszcie odważyła się odwrócić głowę i spojrzeć do tyłu, aż ją zatkało ze zdziwienia na widok ich wszystkich: towarzyszy zabaw i kolegów Tourią, burzy kolorów jak wiosna zalewającej równiny Shei'rahu. Żrebaki nawoływały się w biegu i Joey uświadomiła sobie, że zna te wysokie, natrętne, piskliwe głosy - że one składają się na to, co Indygo grał w sklepie pana Papasa, że są muzyką, która wyciągnęła ją z łóżka i kazała się znaleźć w tym miejscu, w tej chwili. Odchyliła do tyłu głowę, piętami bębniła w boki Tourią i rzuciła pod wiatr własne szalone wyzwanie.

W wyścigu jednorożce dały się ponieść aż na sąsiednie podgórze, nim zaczęły zwalniać. Ich czyste zadowolenie, rozradowanie sobą rozbrzmiewały w Joey. Czuli się przepełniona głosami, promiennym śmiechem, wizjami, dla których nie znajdowała słów, a przede wszystkim muzyką - szaloną, kapryśną, przerażającą, nieskończenie uspokajającą muzyką Shei'rahu. *Ko miał rację, to ich muzyka. To one.*

Kiedy Tourią wreszcie przystanął, zsunęła się z jego grzbietu i oparła o niego, zdyszana, rozchichotana.

- To było cudowne - zdołała wykrztusić. - Cudowne.

- Potrafię biegać o wiele szybciej - niewinnie przechwalał się Tourią. - Raz, będąc mały, prześcignąłem całe stado pery-tonów.

Joey trwożnie popatrzyła w niebo. Tourią, podążywszy za jej spojrzeniem, wyjaśnił:

- Nigdy nas nie niepokoją, kiedy tak jak teraz jesteśmy w gromadzie. Napadają tylko młodych i samotnych. Zresztą ja się ich nie boję.

- A ja tak - wyznała Joey. - Boję się tu właściwie wszystkiego prócz was i Ko. Na przykład tego czegoś dwugłowego

i tych rzeczy na drzewach, które mnie o mało nie schwytały, i tej jakiejś jalli w wodzie... Tourią roześmiał się.

- *Jalli* ze strumienia? Jak możesz się bać głupiutkiej małej *jalli*? - Obejrzał się szybko, kuksnął ją i powiedział: - Chodź, to ci pokażę.

CZEŚĆ MŁODYCH JEDNOROŻCÓW zaczęła się paść albo walczyć na rogi, przeważnie dla zabawy, co Joey widziała już przedtem. Inne leżały na słońcu z otwartymi oczami - na ogół, jak oczy Tourią, zdradzającymi pierwsze oznaki ślepoty - nieruchome, idealnie wkraczały w ciszę, dopóki nie umilkła nawet muzyka ich istnienia. Joey odwróciła się, aby pójść za Tourią, i nagle spostrzegła, że jeden z nich ją obserwuje.

Był biały jak stokrotki, a jego róg rzucał w słońcu płomienne błyski, lecz to jego oczy kazały Joey zatrzymać się w miejscu. Czyste, nie przyćmione oczy Indyga. Zrobiła krok w jego stronę, lecz on się cofnął i zmieszał z innymi, zniknął tak całkowicie, że zabrakło jej pewności, czy go w ogóle widziała.

Tourią poprowadził ją wyżej na wzgórze, cienistą ścieżką w stronę plusku wody. Strumień był w cieniu mroczny, po jego powierzchni pływały czerwone liście i jedno niebieskie pióro. Tourią podszedł do brzegu i trzykrotnie wydał niski, drżący okrzyk. Nic się nie wydarzyło. Zawołał raz jeszcze.

Nagle zawirowanie u jego stóp, chlupot i oto jalla, łokciami oparta o brzeg, ze śmiechem pokazywała cienkie, ostre zęby.

- Jej - powiedziała. - Jeden z Najstarszych i mieszkanka innego świata, cóż za dziw. - Była mniejsza od Joey, wzrostu dziesięcioletki, naga, a w pstrokatym blasku słońca jej skóra połyskiwała niebieskawą zielenią. W okrągłej dziecięcej buzi rombowe oczy, które napotkały wzrok Joey - *takiego samego koloru jak skóra* - jarzyły się dorosłą figlarnością. Joey spodziewała się zobaczyć u *jalli* syreni ogon, lecz nie wiedziała, czy tamta ma go rzeczywiście. Ręce *jalli* skrzyły się niczym bańki mydlane i Joey zdała sobie sprawę, że jej długie palce są połączone delikatną błoną.

- Co za dziw - powtórzyła jalla. - Nigdy nie widziałam mieszkanki innego świata. Zbliź się, dziecko.

Joey zerknęła na Tourią, następnie zaś podeszła do kamiennego brzegu i przykucnęła, aby mieć oczy na poziomie tamtych, rombów.

- Nazywam się Joey - powiedziała.

Jalla wydała odgłos podobny do brzęku mieszających się złotych monet Johna Papasa.

- Oto moje imię - odparła i znów wybuchnęła śmiechem, kiedy Joey spróbowała ten dźwięk naśladować. - Chodź, popływamy razem - zaproponowała. - Nauczę cię łąpać cętkowane rybki. - Joey prędko pokręciła głową i ze zdziwieniem spostrzegła, że jalla spuszcza swoje niezwykle oczy. - Nie zrobiłabym ci krzywdy - zapewniła. - Nam, jallom, bardzo potrzeba towarzystwa przedstawicieli własnego gatunku, lecz ja jestem jedna na całej długości tego strumienia. Zaczyna mi dokuczać samotność.

- Współczuję - powiedziała Joey. - To naprawdę smutne. Czy nie możesz po prostu przenieść się do innego strumienia, potoku, czegokolwiek?

- Żyjemy i umieramy tam, gdzie przyszliśmy na świat - odparła jalla. - Znajduję towarzystwo, jak potrafię... ptaków, węży wodnych, nawet Starych... ale nikt nie chce ze mną pływać, a ja nie mogę chodzić po ich lasach. - Wyciągnęła z wody nie ogon, lecz stopę i Joey zobaczyła, że jest mała, trójpalcza-sta, wruszająco beużyteczna. Jalla podjęła: - Dla nas pływanie oznacza bliskość. - Błoniastą dłoń położyła na ręce Joey tak leciutko, jakby to był pocałunek bańki mydlanej.

Joey znów spojrzała na Tourią. Żrebak nie dał żadnego znaku, nic jej nie radził. *Ko mówił, że są nieszkodliwe. Chyba to te drugie zjadają nieostrożnych.* Zaczęła się rozbierać.

Woda była zgodnie z oczekiwaniami Joey zimna i niedaleko brzegu nagle stawała się bardzo głęboka. Joey dała nurka, wypłynęła na powierzchnię zadyszana i prędko się rozejrzała. Nie dostrzegła nigdzie śladu jalli, dopóki błoniasta ręka nie chwyciła jej za kostkę i z powrotem nie pociągnęła w dół. W chwilowej panice Joey wierzgała, młóciła nogami wodę - Boże, ależ jest silna! - lecz jalla natychmiast ją puściła i znalazła się obok, z rombowymi oczami rozbłyśniętymi zadowoleniem.

- Tak - wykrzyknęła. - W ten sposób się bawimy. Teraz ty.

Joey chciała powiedzieć: „Teraz ja co?“, lecz jalla znów zniknęła.

W umyśle Joey zabrzmiało wołanie podnieconego Touriaa, który obserwował je z brzegu:

- Goń ją! No, dalej!

Obrzuciła wzrokiem powierzchnię, wypatrzyła ślad maleńkich srebrnych bąbelków tuż poza zasięgiem swojej ręki i zanurkowała.

Jalla śmignęła na jej spotkanie, żyłasta, umięśniona i lśniąca, ze skórą niemal łuskowatą. Właściwie nie starała się uciekać, lecz wywijając się i wykrecała z ramion Joey, bulgocząc i mrużąc z ukontentowania, a czasami zawracała, aby po szybkiej kotłowaniu złapać ją i pociągnąć na dno. Mogła pozostawać pod wodą o wiele dłużej niż Joey, zawsze jednak puszczała na pierwszy sygnał i uważnie dopasowywała swą siłę i prędkość do jej możliwości. Wciąż chlapały się, śmiały i pokrzykiwały, jeśli nie liczyć chwil, kiedy w milczeniu szukały się nawzajem pod wodą; a Touria przyglądał się z brzegu, raz po raz skubiąc grubego żółtego mechu, który wyrastał pomiędzy kamieniami.

Joey nie miała pojęcia, jak długo pływała z jallą. Przerwała zabawę dopiero wtedy, gdy była tak wyczerpana, że po prostu musiała klapnąć na płyciźnie i odpocząć. Jalla położyła się obok, uśmiechnięta, nawet nie zadyszana, wyciągnęła rękę i dotknęła piersi Joey, a potem swojej.

- Teraz jesteśmy siostrami - oznajmiła.

Joey zamrugnęła.

- Naprawdę? Dobrze sobie. Zawsze chciałam mieć siostrę, a mam tylko tego niepożądanego braciszka imieniem Scott...

- Ty i ja jesteśmy siostry - powtórzyła jalla. - Jak będziesz czegoś potrzebować, przyjdiesz tu i zawołasz.

- Dobra, przyjdę - odrzekła Joey. - A jeśli ty będziesz mnie potrzebować... - urwała, bo przypomniała sobie o stopach jalla. - Cóż, jesteśmy siostrami. Po prostu będę wiedziała.

Jalla przytaknęła.

- Do widzenia.

Jeszcze raz dotknęła Joey i siebie, potem głębiej zanurzyła się w wodzie i zniknęła z oczu, nie marszcząc jej powierzchni. Joey długo siedziała wpatrzona w strumień.

Już ubrana, nadal potrząsając włosami, aby je wysuszyć, zesłała u boku Touriãa ze wzgórz. Kiedy zbliżali się do równiny, na której żrebaki urządziły wyścigi, Joey spostrzegła prosto przed nimi, w cieniu wielkiego głazu, białego jednorożca. Na odległość poznała jego oczy.

- Indygo! - krzyknęła. - Indygo, zaczekaj! - Biały jednorożec się zawahał, zrobił nawet krok do przodu, lecz potem zawrócił i dwoma susami zniknął jej z oczu. Już miała znów za nim zawołać, ale się powstrzymała. Objęła ramieniem szyję Touriãa, mówiąc:

- No, jedno da się powiedzieć o tym Shei'rahu. *Ludzie tu znikają.*

- Ja nie zniknę - szczerze zapewnił Touriãa.
Joey oparła czoło o jego głowę.

Rort>zi^ł t>iĄtv|

f ii aprawdę zamierzała tego samego dnia wrócić do domu. Jeszcze Tourią statecznie cwałował w stronę Lasu Zachodzącego Słońca, a ona już wymyślała różne historyjki, jakie opowie rodzinie, nauczycielom, BeeBee Hu-ang i Abuelicie - *czy nie mogłabym opowiedzieć Abuelicie, co wydarzyło się naprawdę?* - w razie gdyby istotnie zauważono jej brak. Ale czas tutaj upływał tak mgliście i podstępnie, że Joey czuła się na ogół tak, jak po przebudzeniu wczesnym rankiem w ciemnym pokoju, kiedy patrząc na zegarek, z niewymowną rozkoszą uświadamiała sobie, że przed pójściem do szkoły może jeszcze pospać godzinę czy dwie. Sny miewała wówczas najlepsze i najdziwniejsze, lecz w te poranki budzik zawsze dzwiedział bardziej złośliwie, ona zaś do końca dnia była lekko zdezorientowana. Czas spędzony w Shei'rahu przypominał te sny o świcie, a ona gdzieś tam wewnątrz nasłuchiwała budzika.

- Wiem, że powinnam tęsknić do domu - zwierzyła się Ko - ale doprawdy trudno człowiekowi tęsknić, kiedy nie ma pewności, czy to jawa, czy coś innego.

Jak we snach nie dało się podzielić dni spędzonych w Shei'rahu na godziny, minuty i sekundy. Często wędrowała po lasach z Ko i innymi tirujami. Satyr w dalszym ciągu nazywał ją córką i uważał za swoją osobistą podopieczną, której objaśnia wszystko, co dotyczy ShePrahu. Jego liczni kuzyni - chyba każdego z poznanych przez Joey tirujów łączyły z innymi tak skomplikowane więzy pokrewieństwa, że nawet Ko zrezygnował z tłumaczenia jej tego - bez wahania zaakceptowali ją w ten sam sposób. Ze smakiem jadła owoce, jagody i bulwy, którymi

żywili się oni, ostrożnie kosztowała czarnego soku wyciskanego przez nich ze wszystkiego, co właśnie fermentowało. Pod jego wpływem młodszy potrafił się awanturować, wkrótce jednak Joey poczuła się w towarzystwie satyrów tak bezpiecznie jak w towarzystwie jednorożców.

Ko oświadczył jej kiedyś z dumą:

- My, tiruje, trochę przypominamy Najstarszych. Widzimy wszystko z każdej strony, z przodu i z tyłu, z prawa i z lewa, tylko nie na taką odległość. - Po krótkiej przerwie dodał: - Nie żyjemy też wiecznie. Myślę, że to dobrze. Tak mi się zdaje.

Joey często całe ranki albo popołudnia spędzała z jallą. Zawsze pływały razem i pod wodą bawiły się w chowanego, drzymały w promieniach słońca na brzegu; a wodny elf zgodnie z obietnicą nauczył Joey łapać ryby gołymi rękami. Jalla bardzo się dziwiła, że Joey nie zjada ich na miejscu, tak jak ona, lecz nieodmiennie wypuszcza, aby znów z zapalem je gonić. Wśród ulubionych zajęć jalli drugie miejsce po pływaniu zajmowało snucie długich, zawikłanych jak we śnie historii o wielkich burzach, łowach, bitwach i biesiadach, których jej spokojne krewniaczki uczą się od jalli rzecznych, albo słuchanie o dziwnym, fantastycznym świecie za Granicą. Choć żadną miarą nie mogła sobie wyobrazić, na czym polega posługiwanie się komputerem, robienie sprawunków w pasażu handlowym czy sprzedaż nieruchomości, szalenie lubiła o tym słuchać. Wiedziała jednak, co oznaczają bracia, i zaproponowała kilka mrożących krew w żyłach, lecz ciekawych sposobów na Scotta.

Ale Joey najlepsze chwile w Shei'rahu spędzała z jednorożcami. Zazwyczaj spała w ciepłe, zwinięta między Touriąem a jego matką Fireez, z morskiego plemienia - jak się dowiedziała - zwanego ki-lin. Pan Sinti pochodzi z plemienia niebiańskiego - objaśniła Fireez - z lanau. Karkadanny są karkadannami, z ziemi i kamienia. Nie stworzyła nas jedna ręka, lecz dostaliśmy Shei'rah, aby go wspólnie zamieszkiwać. Co robiliśmy.

Trzeci jednorożec, którego Joey poznała, przebywając z Sintim i Fireez - niebieskoszary, smukły, pełen eleganckiego spokoju - był córką Sintiego i nazywał się Księżniczka Lisha. Lisha mówiła mniej od pozostałych, nawet od ojca, lecz od początku Joey czuła się w jej towarzystwie najlepiej, choć nie potrafiłaby wytłumaczyć dlaczego. Często spacerowały po Lesie Zachod-

dzącego Słońca przed świtem albo w nocy, które pachniały za dobrze na spanie. Muzyka Shei'rahu zawsze wydawała się bliższa i wyraźniejsza w poświacie gwiazd, zwłaszcza jeśli się szło z jednorożcem.

Raz Joey powiedziała o brzasku:

- Jednego nie rozumiem. Tego, że wy stale przekraczacie Granicę. Gdybym ja była jednorożcem, o jej, na krok bym się stąd nie ruszyła. Przecież w moim świecie nie mamy właściwie nic prócz smogu, kina i ludzi umierających z głodu w telewizji. A tu jest tak pięknie, nawet z dwugłowymi wężami i w ogóle, więc po prostu nie pojmuję, dlaczego się nami interesujecie.

Księżniczka Lisha parsknęła cichym śmiechem. Śmiech Najstarszych zawsze wydawał się Joey lekkim podmuchem ciepłego wiatru w jej umyśle.

- Sny - odrzekła Lisha. - Zgodnie z naszą legendą to my, mieszkańcy Shei'rahu, wyśniliśmy wasz świat. Wątpię, czy tak było, lecz my, Najstarsi, więcej czasu spędzamy na rozmyślaniu o ludziach i podziwianiu ich, niż ci się zdaje. Może Shei'rah jest powiązany z waszym światem tylko tą naszą nieustanną fascynacją. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale zapewne tak jest. Bo niby skąd owa zdolność do przybierania ludzkiej postaci i żadnej innej? My wiecześnie jesteśmy sobą, niezmienni; wy jesteście wszystkim naraz, skłębioną przeszłością, teraźniejszością i przyszłością. Ogromnie wam współczuję, nigdy nie potrafiła bym być taka jak wy, ale wciąż mnie zdumiewacie.

Joey już miała się odezwać, trzykrotnie zmieniała zamiar, aż wreszcie zdołała wymamrotać:

- Ślepoty nie jest dla was taka straszna, prawda? Chodzi mi o to, że wszyscy świetnie się poruszacie... nikt by nie zgadł, może gdyby nie to coś na waszych oczach.

- Przenoszenie się z miejsca na miejsce tak, żeby nie wpaść na drzewo, to jeszcze nie wszystko - cicho odparła Księżniczka Lisha. - Ustawiczne życie wśród cieni nas pomniejsza. Pod pewnym względem jesteśmy stworzeniami prostszymi niż ludzie. Mieliliśmy widzieć świat dookoła, obserwować go z bliska i wnikliwie, nie zaś wyobrażać go sobie, podsłuchiwać, odtwarzać w naszych umysłach. Wy chyba nauczyliście się żyć z licznymi rodzajami ślepoty, a mimo to jakoś pozostajecie sobą. My, Najstarsi, nie mamy takiego szczęścia. - Po krótkiej chwili milczenia pod-

jęła: - Ale Pan Sinti jest naszym lekarzem i z pewnością znajdzie sposób na przywrócenie nam wzroku. Możemy czekać.

Niepostrzeżenie niebo przybrało na moment delikatny odcień bladej, przezroczystej zieleni, jak zawsze w Shei'rahu tuż przed świtem.

- Spotkałam pewnego faceta - powiedziała Joey - mam na myśli tego Najstarszego... no, imieniem Indygo. Czy ty go lubisz... znasz go?

- Znam Indyga. - Księżniczka Lisha popatrzyła na Joey niewidzącymi, zaskorupiałymi oczami, które niczego nie zdradzały.

Joey paplała prędko:

- Taak, no więc ja go nie znam. Wiem, że jest Najstarszym, ale spotkałam go jakby w ludzkiej postaci, ponieważ często przekracza Granicę, naprawdę zafascynowany moim światem, i właściwie tylko tyle wiem, prócz tego, że mnie wyrwał tym jakimś criyaqui. Nie twierdę, że mi się podoba czy coś takiego... po prostu chcę podziękować, i tyle.

- Indygo nie lubi podziękowań - wolno odrzekła Lisha. - Indygo mnóstwa rzeczy nie lubi.

- Opowiedz mi o tym - poprosiła Joey. - O ile wiem, lubi tylko Woodmont w Kalifornii, a to szaleństwo. - Zawahała się. - Zdarza się to czasami tutaj? No, wiesz, żeby Najstarszy oszalał czy coś w tym rodzaju?

Księżniczka Lisha znów wybuchnęła śmiechem.

- Nie mamy takiego słowa, ale rozumiem, o co ci chodzi. Nie, Indygo nie jest taki. Ale też nigdy nie był jak większość z nas. Nie potrafi odczuwać zadowolenia; brak mu spokoju, nie godzi się z niczym, co jest. Nie wiem, czy to dobre, złe czy obojętne, ale bardzo utrudnia mu tutaj życie.

- Cóż, w dalszym ciągu nie pojmuję - rzekła Joey. - Zamieniłabym się z nim w jednej chwili. Naprawdę.

Pochłonięte rozmową nie zauważyły, że wyszły z Lasu Zachodzącego Słońca i znalazły się na równinie, gdzie brykały młode jednorożce. Joey miała właśnie powiedzieć: „Oddałabym wszystko prócz Abuelity, mojej babki"... gdy wtem poranne niebo pociemniało i rozbrzmiało lodowate szczęknięcie.

Joey obiema rękami mocno złapała Księżniczkę Lishę za szyję, żeby nie upaść ze strachu. Wschodzące słońce oświetlało perytyny od tyłu, otaczało czerwonożłotą obwódką ich skłębiony

rój, który opadał w dół. Spokojna jak zawsze Lisha odwróciła głowę, aby zerknąć w stronę Lasu Zachodzącego Słońca. Jej głos zadźwięczał w umyśle Joey:

- Nie zdążymy się skryć. Muszę stanąć do walki. Puść mnie, mała, ale trzymaj się blisko. Na pewno są wygłodniałe.

Perytony przypominały jelenie. Nie większe od domowych kotów, unosiły się na ciemnych, spiczastych skrzydłach podobnych do skrzydeł ptactwa wodnego, ale ciała miały jak zwyczajne jelenie, włącznie ze zgrabnymi raciczkami i miniaturowym porożem. Prócz rozmiarów różniły się od nich tylko tym, że śmierdziały jak nieświeże mięso, a z łagodnych pysków, spod miękkich warg sterczały za duże ostre zębiska. Skulona obok Księżniczki Lishy Joey pojęła, że okropny klekot perytonów to nic innego jak szczękaniem zębami, które te stwory ustawicznie ostrzyły jedne o drugie.

Lisha stanęła dęba, aby odeprzeć atak. Joey zdumiała się i przeraziła, słysząc jej ryk, bo nigdy dotąd nie słyszała wyzwania rozwścieczonego Najstarszego. Róg Lishy migał na prawo i lewo, wbijał się w przednią straż napastników, rozprasał ich, a trzech zwałił na ziemię, gdzie leżeli wśród dzikich kwiatów, wijąc się i zgrzytając zębami. Wśród perytonów na chwilę zapanowało zamieszanie i odleciały; potem z taką precyzyjną zwarły szeregi, jakby były zrobione z przelewającego się błota, utworzyły jeden wał, podciągnęły delikatne nóżki i znów rzuciły się na Joey i Lishę.

Parę następnych sekund, minut czy godzin na zawsze pozostało dla Joey nie kończącym się koszmarem, w którym mewie skrzydła szaleńczo tłukły ją po głowie, mnóstwo żółtych szczęk w zapamiętaniu kłapło o parę cali od jej twarzy, a straszne cienkie śmiertelne okrzyki rozbrzmiewały po każdym donośnym ryku bojowym Księżniczki Lishy. Chociaż ślepa, to ona atakowała perytony, wciąż od nowa rzucała się na nie i zabójczym rogiem zataczała krąg bezpieczeństwa wokół Joey. Ilekroć uderzyła, niejednokrotnie za szybko, aby oczy Joey mogły podążyć za ciosem, kolejna garść skrzydlatych niby-jeleni padała pogruchotana obok niej, zawsze jednak znajdowały się następne. Lisha sprawiała wrażenie całkiem niestrudzonej, lecz Joey widziała krew, ciekącą z licznych paskudnych ranek na jej szyi, grzbiecie i bokach. Usłyszała opanowany głos:

- Może mimo wszystko będziesz musiała uciekać pod drzewa, mała. Nigdy jeszcze nie widziałam ich tak zajadłych.

- Nie pójdę - załkała Joey. - Wykluczone, nie odejdę.

Peryton przemknął się obok wirującego rogu Księżniczki Lishy i zaatakował oczy Joey. Przez chwilę widziała jego miłe brązowe oczy z krwawymi żyłkami, błyskające straszną żarłocznością, po czym róg prawie go przepołuwił i odrzucił na bok.

- Mogę cię ustrzec przed większością z nich - powiedziała Lisha - jeżeli pójdziesz teraz. Miej głowę spuszczoną i uważaj pod nogi. Potkniesz się tylko wtedy, kiedy popatrzysz do tyłu.

W późniejszych czasach Joey często się zastanawiała, czy byłaby usłuchała i porzuciła Księżniczkę Liszę, i bardzo podnosił ją na duchu fakt, że nie zdecydowała się na ucieczkę. Wtem zza jej pleców dobiegł straszliwy ryk. Wielki karkadann wypadł z Lasu Zachodzącego Słońca, a ziemia dygotała pod jego kopytami, kiedy runął w wir walki. Czerwone boki płonęły mu w porannym słońcu, był spieniony, a w swojej strasznej ślepotcie bardziej przypominał uciekającą lokomotywę niż jednorożca.

Perytony spostrzegły, że się zbliża. Obojętne, czy były jedną istotą, jedną świadomością, poderwały się i utworzyły ogromny, bezładny kłęb. Połowa z nich chyba wołałaby odwrót, reszcie natomiast zbyt żarłoczność nie pozwalała słuchać niczego prócz własnych żołądków. Karkadann wmieszał się w nie w chwili ich wahania, olbrzymim ciałem odgradził je od Księżniczki Lishy i bezlitośnie kosił rogiem dwukrotnie dłuższym od jej rogu. Niedługo znosiły to okropieństwo, po czym ustąpiły z pola i zawodząc, umykały w powietrzu przed dwoma jednorożcami, które puściły się w krótki pościg, a następnie stanęły i zawróciły. Kiedy truchtem biegly do Joey, ocierały się o siebie czule, karkadann zaś, jeżeli nie tulił się do Lishy i nie lizał jej ran, niezdarnie harcował dokoła niej i bawił się świetnie jak młode kozłatko.

- To Tamirao - wyjaśniła Księżniczka Lisha nieledwie z nieśmiałością.

Karkadann schylił głowę przed Joey, lekko dotykając jej ramienia olbrzymim rogiem. Miał oczy w kolorze bzu.

ZEGAREK JOEY STANAŁ po przekroczeniu przez nią Granicy i choć prędko się nauczyła z dość dużą dokładnością odgady-

wac godzinę z położenia słońca czy księżyca albo ze smaku powietrza, umiejętność ta jeszcze prędzej straciła dla niej znaczenie. Joey jadła owoce i jagody, kiedy była głodna, spała na miękkiej trawie, kiedy była zmęczona, bawiła się z Tourią i jego przyjaciółmi, ilekroć przyszła jej ochota, znajdowała schronienie w kryjówkach satyrów, gdy padało, i uczyła jallę śpiewać piosenkę o żółtej łodzi podwodnej. Czasami cały dzień czy noc nieruchomo siedziała pod drzewem, jak któryś z Najstarszych, i słuchała muzyki Shei'rahu. Nie próbowała już przybliżyć się do niej ani zrozumieć jej prawdziwego związku z jednorozciami, w jakiś sposób stanowiącymi jej źródło. Po prostu cały dzień siedziała zasłuchana i cicho sobie nuciła.

Może najbardziej lubiła obserwować Księżniczkę Liszę i Tairao. Potężny karkadann był milczącym, ociężałym stworzeniem, jak wszyscy przedstawiciele jego gatunku, lecz w oczach Joey dzięki przywiązaniu do Lishy nabierał niemal tego samego spokojnego wdzięku co ona. Na ich widok, kiedy wieczorami spacerowali po Lesie Zachodzącego Słońca albo kiedy zarumieniony brzaskiem wodospad walił się ze skalnego urwiska prawie pod ich nogi, odczuwała ciepło odbitej radości. Lisha nieraz zapraszała ją na wspólną przechadzkę, lecz nieśmiałość nigdy nie pozwalała Joey skorzystać z propozycji.

Pana Sintiego nieodmiennie spotykała wtedy, kiedy najmniej się tego spodziewała. Nigdy nie słyszała go ani nie widziała inaczej jak kroczącego u jej boku. Bywał przyjazny i -jak na niego - rozmowny; kiedy indziej znów taki daleki, taki oderwany, taki cichy, że czuła się głupio i lekko spłoszona, nie umiała sobie wyobrazić, dlaczego szuka jej towarzystwa. Zdarzały się jednak chwile, kiedy nagle słyszała go swym umysłem, choć nie znajdował się w zasięgu wzroku. Ostrzegał ją wtedy przed nadlatującym rojem perytonów albo przed hul-tajem jakhao, który zabłąkał się w Lesie Zachodzącego Słońca. Raz, gdy Joey leżała na brzuchu nad małym, ocienionym stawkiem, gdzie lubiła żuć łodygi koniczyny, pić zimną, czystą wodę i nie myśleć absolutnie o niczym, spostrzegła jego pomarszczone wiatrem odbicie przy swojej twarzy i była pewna, że słyszy jego głos: „Pomóż mi, Josephine Rivera”. Kiedy jednak usiadła i odwróciła głowę, po jego przejściu pozostała już tylko muzyka.

Joey kilkakrotnie widziała w oddali Indyga, zawsze w postaci jednorożca, lecz raz jeden miała okazję z nim porozmawiać. Wkrótce po jej przybyciu do Shei'rahu, Ko zabrał ją do doliny w górach, której surowość graniczyła z jałowością, a w której Joey z miejsca się zakochała. Podejście było strome, ale wspinała się tam często, aby posiedzieć na bezładnej kupie olbrzymich głazów, jak w zadziwiająco wygodnym fotelu, i popatrzeć w dół, na grzbiety ptaków o przydymionej barwie, podobnych do skrzydlatych ryb. Ptaki te wisały w powietrzu, godzinami nie ruszając się z miejsca. Po ciągłym bogactwie Shei'rahu czerpała głębokie zadowolenie z tego, że prócz nieba i kamieni, prócz rzeki połyskującej daleko w dole nie ma tu nic do oglądania. Ko wciąż ostrzegał, żeby nie podchodziła do rzeki, bo czają się w niej jalle rzeczne, i Joey posłusznie miała się na baczności aż do chwili, kiedy pewnego popołudnia nad samą wodą ujrziała białego Najstarszego.

Zaczęła natychmiast złaźić ze skał na czworakach, całkowicie obojętna na to, że obciera skórę na dłoniach i kolanach. Z tej odległości nie mogła odróżnić jednego białego jednorożca od drugiego, lecz schodząc, mówiła sobie z przekąsem: „Cóż, poznam, że to on, bo na mój widok natychmiast się stąd wyniesie. Po tym poznaje się Indyga”.

To był Indygo, ale nie uciekał. Stał wpatrzony w bystry nurt rzeki, jeszcze wąskiej na tej wysokości, choć już głębokiej i dziwnie ciemnej, nawet w jasnym słońcu. Joey nieśmiało zbliżała się do niego i raptem stanęła jak wryta, bo z przybrzeżnego wiru wynurzyła się gładka złota głowa i proste ramiona. Rzeczna jalla zaskakiwała urodą, jej wielkie oczy, cera aksamitna jak skrzydła motyla i pełne, delikatne usta były tak doskonałe, że Joey zalekniona podniosła ręce do własnej twarzy. Słyszała Indyga i głos z cichym szemraniem odpowiadający mu nad wodą, rozbawiony, słodko drapieżny. Rzeczna jalla obróciła głowę i popatrzyła na Joey.

Tylko przez parę sekund wymieniały spojrzenia, bo Joey musiała zamknąć oczy na widok tego, co ujrziała wtedy i co dostrzegła później w oczach rzecznej jalli. Znów usłyszała czarowny śmiech i głos Indyga, nagle rozkazujący; otworzywszy oczy, zdążyła pochwycić ostatni błysk rybich zębów odsłoniętych w szyderczym uśmiechu, kiedy rzeczna jalla zniknęła z po-

ła widzenia tak, że ani zmarszczka na wodzie nie wskazywała jej śladu. Joey tkwiła w miejscu i po prostu dygotała, dopóki, nie patrząc na nią, Indygo nie powiedział:

- Ona dziś nie wróci. Chodź tutaj.

Z bliska jego smukłość, długie nogi i stosunkowo szorstka sierść wskazywały, że należy do lanau, jednorogców niebiańskiego rodu, tak jak Sinti i Księżniczka Lisha. Joey podchodziła wolno, na wszelki wypadek starając się go mieć od strony brzegu.

- To była najpiękniejsza kobieta, jaką zdarzyło mi się widzieć - rzekła. - Nigdy w życiu się tak nie bałam.

Indygo nie odpowiedział.

- Przy okazji dziękuję za uratowanie mi życia - odezwała się Joey.

- Właśnie zrobiłem to znowu - odparł Indygo. - Rzeczna jalla o wiele prędzej porusza się na łądzie niż twoja przyjaciółka, mała jalla ze strumienia. Powiedz mi, czy Ko zdaje sobie sprawę, jaka jesteś głupia?

Joey natychmiast zawrzała gniewem.

- Wiem, że nie należy się zbliżać do rzeki! Zeszłam tu tylko po to, aby z tobą porozmawiać! Masz do mnie jakieś pretensje?

- Ty tutaj nie należysz. - Głos Indyga w jej umyśle brzmiał twardo i bezdźwięcznie. - Nie masz w Shei'rahu nic do roboty.

- Och, racja, a ty należysz do mojego świata? - Joey krzyczała teraz tak, jak mogłaby wrzeszczeć na swojego brata. -Więc co, u diabła, robisz, kiedy latasz po Woodmont w Kalifornii i próbujesz zamienić swój róg na złoto? - Połapała się, słysząc własne słowa. - Och, to był on - wyszeptała wolno. - Naprawdę swój róg pokazywałeś panu Papasowi.

Indygo raptownie odwrócił się tyłem do rzeki i ruszył w stronę kamienistych wzgórz, a Joey, jazgocząc, szła za nim.

- Był twój, prawda? Jednorogce nie umierają, więc musiał być twój. Mam rację? Wiem, że tak.

Biały jednorozec prowadził ją dalej, aż w końcu dosłownie przyparła go do kamienia dwa razy wyższego niż ona. Indygo z łatwością mógłby go przeskoczyć, ją zaś skazać na beznadziejną wspinaczkę, ale obrócił się do niej, z ciemnoniebieskimi oczami rozszerzonymi wyzywająco.

- A jeśli był mój?

Joey wpatrywała się w niego przerażona.

- Tego nie możesz zrobić! Nie możesz przekroczyć Granicy bez swojego rogu, jeśli zaś nie będziesz mógł wrócić do Shei'rahu, umrzesz! Mówił mi Sinti!

- Ach, naturalnie - zakpił Indygo. - Uczony Pan Sinti, władca nas wszystkich, przewodnik i doradca przybyszów z innego świata. Sinti szlachetny, wszechwiedzący, tajemniczy. Sinti kłamca.

- O czym ty mówisz? - Joey chciała zadrwić, okazać bezbrzeżną pogardę, lecz coś w zachowaniu Indygo sprawiło, że wyjąkała ochryple: - Sinti nie jest kłamcą!

- Sinti i cała reszta - kategorycznie stwierdził Indygo. - Fierez, Lisha, wszyscy wielcy Najstarsi. Sami kłamcy.

- Dobra - rzekła Joey. - Dobra. - Postanowiła nad sobą panować. - Porozmawiajmy o kłamstwie. Na przykład o tym, co powiedział panu Paposowi o złocie potrzebnym ci w podróży. Jesteś jednorożcem, żyjesz w Shei'rahu... na co ci złoto, na co podróże? Na litość boską, chodzi mi o to, że już tu jesteś!

Indygo długą chwilę odwzajemniał jej spojrzenie, a przez ten czas Joey nabrała niedorzecznej pewności, że pachnie dokładnie tak jak mydło kąpielowe w kształcie ryby, za którym przepadała w dzieciństwie. Potem stanął dęba, tak nagle, że przestraszona odskoczyła do tyłu, i tym razem rzeczywiście przesadził kamień, kopytami ledwie musnąwszy jego czubek, co zabrzmiało cicho jak trzask szczotkowanych włosów. Joey nie próbowała iść za nim. Wspięła się wolno i mozolnie z powrotem na swój kamienny fotel, z którego długi czas obserwowała rzekę, ciekawa, czy rzeczna jalla wynurzy się znowu, i trochę zalekniona.

Nieustannie fascynowały ją małe, podobne do smoków stworzenia zwane shendi. Niejedną chwilę spędziła, leżąc w wysokiej trawie i obserwując pewną rodzinę zamieszkałą w płytkiej jaskini, niedaleko od miejsca, gdzie widziała dwugłowego jakhao. Rodzice albo ją ignorowali, albo atakowali z wściekłym bulgotem; natomiast młode były równie ciekawe jak ona, i kiedyś wczesnym rankiem Joey, prawie zupełnie wstrzymując oddech, zwabiła jedno na tyle blisko, by stwierdzić, że wąskie, zrogowaciałe wargi ma zielone jak trawa, żrenice zaś białozłote. Ale zaraz spłoszone szelestem za jej plecami stworzonko umknęło w miniaturowy cień swojej matki.

Joey odwróciła się raczej z irytacją niż ze strachem i zobaczyła Ko.

- Już czas - rzekł satyr. Joey, nie rozumiejąc, zamrugła oczami. - Jeżeli zostaniesz na tym świecie jeszcze dłużej - wyjaśnił Ko - na twoim upłynie czas. Pan Sinti kazał odprowadzić cię do Granicy.

- Och, dobrze. Taak. - Joey bez celu rozejrzała się dokoła, nagle tak zdezorientowana i pełna wątpliwości, jak w chwili, kiedy po raz pierwszy znalazła się w Shei'rahu. - Muszę pożegnać mnóstwo osób. Jallę ze strumienia, Fireez, Lishę, Tourią, wszystkich Najstarszych...

Ko pokręcił głową.

- Nie zdążysz. Pamiętaj, jak długo trwa podróż. - A na widok jej oczu, wzbierających nie wylanymi łzami, dodał łagodnie: - Cóрко, Najstarsi będą z nami przez całą drogę do Granicy, tak jak obserwowali cię i szli za tobą, gdy przekroczyłaś ją po raz pierwszy. Ale oni nie rozumieją pożegnań. Nikt z nas tu tutaj nie rozumie, może z wyjątkiem moich krewniaków. - Wziął ją za rękę, z niedbałym, krzywym uśmiechem satyra na twarzy. - Tak to jest w Shei'rahu - rzekł. - A teraz chodź.

Droga wydawała się znacznie krótsza niż przedtem, choć dopiero po zachodzie słońca zeszli do wąskiej, cieniejszej doliny i Joey po raz pierwszy ujrzała Granicę. Przy ostatkach światła przypominała jasną, nieuchwytną zmarszczkę w powietrzu: była jakby magicznym lustrem, które cały szmat ziemi za sobą zmienia w chytrze typiące oczami cienie i nawiany śnieg.

Joey powiedziała:

- To nie było tutaj. Co się stanie, jeśli wyląduję w Nowym Jorku czy gdzieś indziej?

Ko uspokajająco poklepał ją po plecach.

- Nic takiego się nie zdarzy.

- Skąd wiesz? Sam nigdy nie byłeś po drugiej stronie... skąd wiesz, gdzie wyjdę? - Nagle poczuła, że zaraz może wpaść w panikę.

Ko zachował niezmacony spokój.

- Granica to Granica. Wyjdiesz tam, gdzie weszłaś, cóрко. Masz na to słowo Pana Sintiego.

- Cóż - odparła Joey. - Jeśli tak mówi Sinti. - Położyła wyraźny nacisk na imieniu czarnego jednorożca, zobaczyła na ko-

smatej twarzy Ko urazę, którą skrył równie szybko, jak się pojawiła, i chwiejnym krokiem podbiegła, aby go uściskać. - Przepraszam, przepraszam - wymamrotała. - Po prostu czuję się tak... nie wiem, nie czuję się dobrze, nie znoszę tego.

Nie myte włosy satyra wydzielały cudowny, ostry zapach.

- Więc wracaj - powiedział. - Granica będzie. Shei'rah jeszcze będzie. Wracaj do nas, jak zechcesz.

- Ale się porusza. - Joey pociągnęła nosem. - Sinti mówił, że Shei'rah ciągle się porusza. Pewnie nigdy już go nie znajdzie.

Ko trochę ją od siebie odsunął i mrugnął do niej z powagą.

- Myślę, córko - rozumiesz, myślę - że Shei'rah na ciebie poczeka. Zobaczymy się wkrótce. - Wskazał na ospały księżyc w pełni, który teraz wypływał nad linię drzew. - Ale on nie po czeka. Idź już. - Objął ją znowu, po czym obrócił, złapał za ramiona i lekko popchnął w kierunku mglistej jasności oddzie lającej świat jednorozców, satyrów i sześciocalowych smoków od świata, do którego należała. Przetarła oczy, zaczęła się oglądać, nie spojrzła do tyłu, usłyszała ostatni zuchwały, rozdzierający dźwięk ukochanej muzyki, zamilkłej z chwilą, gdy wyruszyli w stronę Granicy, i powędrowała w dół stoku w butach wyciecz kowych, ciężkich obecnie jak kajdany. Wlokła nogi znużona, lecz bez wahania, prosto przez rozdzwoniony blask...

... i wyszła prawie na skrzynkę pocztową przy skrzyżowaniu ulic Alomar i Valencia, o dwie przecznice od domu. Uczepiła się skrzynki, oszołomiona i dezorientowana, i obojętnie rozglądała się dokoła. Noc była równie ciemna jak wtedy, kiedy biegła tędy w ślad za muzyką, a na wschodzie wisiał nisko ten sam półksiężyc - nie księżyc z Shei'rahu. Joey wciąż kręciła głową, przełykała ślinę, ciekawa, czy jej nie zemdle, i chowała twarz za skrzynką, na wypadek gdyby jakiś przechodzień widział, jak słaniając się na nogach, przybywa z powietrza. Wreszcie głęboko zaczerpnęła tchu, wyprostowała się niepewnie i pomaszerowała do domu.

Nikt się nie obudził, kiedy na palcach weszła na górę. Padła na łóżko, jeszcze w koszulce z nadrukiem *Ekspozycja północna*, i śniła o maleńkich smokach i rombowych oczach jalli ze strumienia.

Rorbri^ł szósty

^edyną osobą, której powiedziała, był John Papas. Siedziała w sklepie nazajutrz późnym popołudniem, starannie sortując karton nowych strun do skrzypiec, czego ją nauczył. Raptem podniosła wzrok i zobaczyła, jak przygarbiony stoi przy oknie i wygląda na ulicę.

- Głupio - mamrotał, raczej pod swoim niż jej adresem. - Straciłem go, głupi Papas.

Joey już miała powiedzieć: „Wróci”, ale ugryzła się w język; pod wpływem nagłego impulsu odłożyła struny i podeszła do jednego z paru pianin elektronicznych, które John Papas trzymał na składzie.

- Niech pan posłucha. - Zaczęła wolno wyławiać z pamięci ci melodię, najczęściej słyszana w Lesie Zachodzącego Słońca po zapadnięciu zmroku.

To, co grała, było słabą, zaimprovizowaną aranżacją, żenująco kiepską, na lewą rękę, skoro mogła tylko zgadywać, jakie harmonie Woodmont mogłyby pasować do melodii i rytmów Shei'rahu. Najczęściej improwizowała, jej ręce z uporem, niezdarnie podążały za muzyką, którą zapamiętało serce. *Wszystko to jest złe, złe, to śmiecie, powinnaś się wstydzić.* Lecz nieporadne próby tak ją pochłoneły, że podobnie jak przedtem nie miała pojęcia, ile czasu gra. Przerwała dopiero wtedy, kiedy otworzyła oczy i zobaczyła, że John Paps płacze w milczeniu

Łzy dorosłych wprawiały ją w wielkie zakłopotanie. Wstała prędko i znów zabrała się do pracy.

- Zostaw struny, zostaw - ochryłym głosem powiedział John Papas. - Już czas spisywać twoje rzeczy, dzieciaku. Nie

wiem, skąd to bierzesz, ale musimy je spisywać. Co dziś mamy, piątek? Przyjdiesz jutro, nic nie czeka na reperację...

- To nie moje, proszę pana - powiedziała Joey. - No, może w pewnym sensie tak, może częściowo. Ale jest podobne do tego, co grał ten chłopiec, Indygo, kiedy chciał panu sprzedać swój róg. - Na twarzy Johna Papasa nie malowało się nic prócz dziwnej ostrożności. - Pochodzi z tego innego miejsca - wyjaśniła Joey - właściwie z tego innego świata. Z miejsca, które nazywa się Shei'rah.

John Papas, słuchając opowiadania, ani razu jej nie przerwał i zachowywał się jak zawsze. Kiedy skończyła, odwrócił się z chrząknięciem, aby obejrzeć staroświecki puzon wentylowy, który rano ktoś oddał mu do reperacji.

- Kosztowne masz sny, Josephine Angelina Rivera - rzucił przez ramię. -Tysiące osób obsady, wszystkie te efekty specjalne. Kto jest twoim reżyserem? Powiesz mi, jak film będzie gotowy, dobra?

Joey nigdy sobie nie wyobrażała, że John Papas natychmiast uwierzy w jej relację o jednoroźcach, satyrach i skrzydlatych mięsożernych jeleniach, nie oczekiwała też jednak, że skwituje ją z sposób tak zdawkowy i drwiący. Oburzona podniosła głos:

- To nie był sen! Pan myśli, że nie wiem, kiedy mi się coś śni? Spędziłam tam wiele dni, tygodni... Byłam tam!

John Papas wymamrotał coś niezrozumiałe, pochylony nad puzonem, tyłem zwrócony do niej. W przypiływie złości Joey krzyknęła na niego:

- I pan wie, że mówię prawdę! Pan wie, skąd pochodzi ta muzyka, bo pan znał Indyga! Od razu się domyśliłam, że go pan zna!

John Papas powoli zwrócił twarz w jej stronę. Bardzo pobladł, co sprawiło, że jego czarne oczy wydawały się większe niż w rzeczywistości, skóra tuż pod lewym okiem drgała mu dostrzegalnie.

- Spotkałem go na Granicy - rzekł cicho.

Nagle przyznanie się do tego nieomal odebrało Joey mowę.

- Granica - wyjąkała. - Przekroczył pan Granicę, był pan tam? Był pan w Shei'rahu?

John Papas pokręcił głową i nawet leciutko się uśmiechnął.

- Nie. Przypadkowo znalazłem twoją Granicę... Chcesz wiedzieć gdzie? Trochę dalej, po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko nory Provotakisa. Po drugiej stronie ulicy w pewną noc może przed rokiem. Granica.

- Ona się porusza - rzekła Joey. - Ja nawet jej nie zauważyłam, właściwie nie. Po prostu ściagałam muzykę.

- Ściagałaś muzykę. - John Papas uśmiechnął się trochę szerzej, choć ten grymas jakby sprawił mu ból. - Ja tam nie słyszałem żadnej muzyki. Ty grasz, on gra, wtedy słyszę doskonale. W przeciwnym wypadku nie słyszę, ani po drugiej stronie ulicy, ani za Granicą. - Z chrapliwym parsknięciem szarpnął wąsy. - Więc. Więc piłem *ouzo* z Provotakisem, co czasami nam się zdarza. Pijemy, gadamy o różnych rzeczach. No i on zamyka, jest pierwsza, druga nad ranem, ja, pełny *ouzo*, wychodzę na dwór, a tu proszę. Jest. Dosłownie pod nosem, a wygląda - jak? - jak deszcz. Jakiś deszcz elektryczny

- Ale pan jej nie przekroczył? - zapytała Joey.

- Nie jestem dzieckiem - odparł John Papas. -Tylko pijanym starym mężczyzną. Stoję i patrzę, to wszystko. Próbuję zrozumieć, co widzę. Ale nie całkiem mogę zobaczyć, co jest po drugiej stronie. I wtedy. Wtedy biały jednorożec.

- Indygo - sapnęła Joey. John Papas chyba nie dosłyszał, bo mówił dalej:

- Biały jak sól, biały jak kość. Stoi na samej Granicy, przednimi nogami stuk-stuk o ulicę w Woodmont, tylnymi -r tylne nogi nie wiadomo gdzie. I patrzy na mnie. Wiesz, jak to jest, kiedy na ciebie patrzy.

- Wiem - powiedziała Joey. - Wiem.

- Zobaczył mnie - podjął John Papas. - Ja tam nadal nie mam pewności, czy go widziałem, ale on mnie zobaczył. I rozmawialiśmy. - Nagle roześmiał się całkiem szczerze. - Ja, stary Papas, wypilem o jedno *ouzo* za dużo i przez całą noc rozmawiałem z białym jednorożcem. Co o tym myślisz, Josephine Angelina Rivera?

- O czym rozmawialiście? - chciała wiedzieć Joey. - Co on ci powiedział, ten jednorożec?

John Papas rozłożył ręce.

- Przeważnie zadawał pytania. Przez całą noc pytał o ten świat: o ludzi, kraje, języki, historię, pieniądze. Tak, zwłaszcza

o pieniądze. - Potarł czoło i skrzywił się na samo wspomnienie.

- Budzę się nazajutrz rano, głowa mi pęka z bólu, myślę, że to był sen. Jednorożec w Los Angeles, to ouzo wywołuje takie sny, wiesz? A potem on wchodzi do sklepu. Wchodzi na dwóch no gach, ale ja wiem.

Raptem oczy znów zaszyły mu łzami, lecz równocześnie trząśł głową w bezradnym rozbawieniu.

- Chce tu mieszkać, dasz wiarę? Chce przekroczyć Granicę na dobre, wyglądać jak człowiek, żyć jak człowiek, sprzedać róg, ma dość bycia jednorożcem. Dasz wiarę?

- On nie może - stwierdziła Joey. - Nie może, to się nie uda. Umrze. - John Papas znów na nią patrzył. Powiedziała: - Najstarszy, jednorożec, który stracił swój róg, nie może wrócić do Shei'rahu. Umrze tutaj. Wie o tym.

- Cóż, powinnaś mu przypomnieć - cicho odezwał się John Papas. Kiwnął głową nad ramieniem Joey, a ona się odwróciła i zobaczyła Indyga, który wchodził do sklepu, niedbale trzymając srebrzystoniebieski róg w jednej ręce. Chociaż wiedziała, czym jest, musiała podziwiać nieludzki wdzięk, z jakim się poruszał - *nie, nie jest nieludzki, raczej jakby dumny, że może przybierać taką postać, stara się zrobić z niej jak najlepszy użytek. Przy nim to my nie wyglądamy na ludzi.*

- Pomyślałem, że może zechce pan jeszcze raz zobaczyć róg - rzekł Indygo. Podał go Johnowi Papasowi do obejrzenia; ten wyciągnął rękę, po czym z kwaśną miną ją opuścił.

- Co za różnica? Nie mam więcej złota niż poprzednio.

Indygo zamiast odpowiedzi podniósł róg do ust. Tony szybko, cicho przepłynęły przez sklep. Proszę bardzo, pozdrowienia z Shei'rahu. Indygo urwał raptownie i wręczył róg Johnowi Papasowi.

Stary człowiek trzymał go, jakby to było niemowlę. Indygo przyglądał się z bladym uśmiechem. Żaden się nie odzywał. John Papas przez chwilę wpatrywał się w Indyga, a następnie przeszedł do warsztatu.

- Umrzesz bez niego - powiedziała Joey. - Mówił mi Sinti.

- A co ja ci mówiłem o Panu Sintim? Jakiego użyłem słowa? - Indygo uśmiechnął się nieco szerzej. -Troje Najstarszych żyje w samym tylko twoim mieście. Codziennie widzisz ich na ulicy, choć o tym nie wiesz.

- Oszalałeś - szepnęła Joey. - Najstarsi w Woodmont? Zwa-
riowałeś.

Indygo śmiał się z niej, a w tym śmiechu brzmiała prawie
taka sama nieuchwytna figlarność jak w jego muzyce. -W Wood-
mont i wszędzie tam, gdzie Granica styka się z waszym światem.
Widzisz, mówiłem ci, że kłamię, Sinti i cała reszta. Możemy żyć
tutaj i nic nam nie jest. Dobrze się nam tu żyje.

Joey już miała krzyknąć: „Nie, nie wierzę ci”, gdy wtem
przypomniała sobie rozważny głos Księżniczki Lishy mówiącej w
zadumie: „Może Shei'rah jest powiązany z waszym światem tylko
tą naszą nieustanną fascynacją”. John Papas wracał, więc ściszyła
głos i po prostu zapytała Indyga:

- Dlaczego? Dlaczego ktokolwiek z was chciałby tu miesz-
kać? Wyglądać jak my? Skoro mógłby być Najstarszym
w Shei'rahu?

Indygo patrzył na nią i przez chwilę na jego twarzy, zamiast
zwykłego kpiarstwa i piękna nie z tego świata, malowało się coś
podobnego do ludzkiego bólu. Odrzekł równie cicho jak ona:

- Uważasz to za takie cudowne? Wiecznie być magicznym,
anielskim, czystym i nie mieć żadnego wyboru? Nigdy nie mó-
wić, kim się jest, z uwagi na to, czym się jest? Powiadam ci, ty
głupia, głupia, ciemna, nieszczęsna mała śmiertelniczko, że
wolałbym być tobą niż Panem Sintim we własnej osobie. A nikt z
Najstarszych nigdy nie powiedział czegoś takiego żywej istocie.

- Dobrze - zgodziła się Joey. - Dobrze, brawa dla ciebie. -
Słowa Indyga ją rozzłościły, a mimo to pasja brzmiąca w jego
głosie wprawiła ją w takie oszołomienie, że nic innego nie po-
trafiła wymyślić. John Papas podszedł do nich z wyrazem znu-
żenia w oczach.

- Może uda mi się znaleźć trochę więcej złota - powiedział. -
Wróć za parę dni, za tydzień, to zobaczymy.

- Może. - Indygo wziął srebrzystoniebieski róg z rąk Johna
Papasa i zniknął bez słowa, choć Joey wołała za nim:

- Słuchaj, zaczekaj, musimy porozmawiać!

Trzasnęły drzwi, a ona i John Papas stali, głupio mrugając do
siebie oczami, podczas gdy muzyka Shei'rahu wciąż jakoś się
śmiała w zakurzonych kątach sklepu.

John Papas stwierdził kategorycznie:

- Muszę go mieć. Nigdy w życiu na niczym, dosłownie na niczym tak mi nie zależało jak na tej rzeczy, na tym rogu. Prawdę mówiąc, wstyd mi, że tak bardzo go pragnę.

- Wiem - rzekła Joey. - Aż za dobrze. Ale to wariactwo, on nie może tego zrobić, nie może sprzedać rogu. Obojętne, co powiedział. Najstarsi, którzy tracą tu swoje rogi, nigdy już nie mogą wrócić do Shei'rahu. On tutaj umrze, proszę pana, wie, że tu umrze!

- Jego sprawa - odparł John Papas. - On dokonuje wyboru. Ja osobiście nigdy nie przekraczałem żadnej Granicy, toteż wiem tylko... - nagłym ruchem wyciągnął rękę, aby zmierzyć jej włosy - że wciąż się tu kręci chudy dzieciak i raptem poznaję taką muzykę, jakiej nigdy na tym świecie nie słyszałem, jakiej nikt nigdy nie słyszał. Ale usłyszą. Na Jezusa i wszystkich świętych, usłyszą.

Joey próbowała mu przerwać, lecz bez skutku; śnił na głos, czego nigdy przedtem nie robił.

- Dobra, najważniejsze jest to, żebyś teraz nauczyła się zapisywać tę muzykę naprawdę szybko, musisz się nauczyć, jak przeplatać ze sobą głosy, jak malować głosami, rozumiesz? Musisz zrobić tak, żeby ludzie widzieli to miejsce, gdzie bywasz, ten Shei'rah, żeby go czuli, nie tylko słyszeli. Czeka cię dużo ciężkiej pracy, Josephine Angelina Rivera. - Delikatnie popchnął ją znów w stronę pianina.

- Nie mogę - powiedziała Joey. - W ustach jej zaschło, bolało ją gardło. - Muszę już iść, zobaczę się z panem jutro.

Na dworze przez chwilę oślepiła ją białe słońce, a potem pobiegła ulicą, spocona i przerażona, wpadając na ludzi, wypatrując w każdej mijanej twarzy starych oczu z ShePrahu.

Ku WŁASNEMU ZDZIWIENIU dogoniła Indyga o dwie przecznice dalej. Chociaż raz szedł wolno, poruszał się ze zwykłym spokojem, lecz miał chyba lekko pochylone ramiona, a głowę i szyję unosił mniej butnie. Srebrzystoniebieski róg wsadził pod pachę.

Joey zrównała się z nim, zadyszana. Ledwie odzyskała głos, zażądała:

- Dobra, pokaż mi. - Indygo spojrział na nią i odwrócił oczy.

- Najstarszych - powiedziała Joey. - Gdzie są? Pokaż mi choć jednego.
Indygo przyspieszył kroku.

- Czy muszę? Mam inne zajęcia.

Joey wybuchnęła śmiechem.

- Wiesz, co moja babka Abuelita mówi o ludziach takich jak ty? Mówi, że to są same pióra. - Indygo przystanął, zwrócił twarzą w jej stronę. Joey uśmiechnęła się do niego. - Nie jesteś ptak - rzekła. - Tylko pióra.

Odniosła przelotne wrażenie, że Indygo wygląda na dziwnie zmęczonego i prawie smutnego, kiedy tak się w nią wpatruje. Trzy dziewczynki, patrząc w bok, minęły ich w mroku, który zapadał powoli; ulicą nadjechała ciężarówka dostawcy lodów, a jej radio rozbrzmiało muzyką z „Musie - Hallu”. Z jakiegoś głębokiego, niewyczerpanego źródła napłynął do niebieskich oczu Indyga wyraz drwiny, kiedy odpowiedział:

- Czemu nie? Ostatecznie czemu nie? Chodź ze mną.

Musiła pędzić, aby dotrzymać mu kroku, ale nie próbował

się zgubić; przeciwnie, ilekroć przecinali duży parking czy torowali sobie drogę w zatłoczonym pasażu, ujmował jej ramię, aby ich nie rozdzieliło. Kierowali się do dzielnicy handlowej, na kolejne przedmieście Woodmont po drugiej stronie autostrady, gdzie sklepy są otwarte do dziewiątej albo dziesiątej. Indygo nieodmiennie prowadził ją tam, gdzie z oświetlonej neonami wystawy albo z pasażu dolatywała muzyka, jeszcze głośniejsza, brzydsza niż poprzednio. Patrząc, jak bada wzrokiem tłumy, z przekrzywioną głową wciąż w ruchu, Joey myślała: *On za tym przepada, kocha to wszystko, kocha każdą rzecz, która nie jest Shei'rahem. Nigdy tego nie zrozumie.*

- Kiedy jest tutaj, siaduje w tym miejscu - odezwał się na głośnie i skinieniem głowy wskazał wejście do Max Tacos. - Ale chyba już poszła tam, gdzie sypia. Chodź.

Autostrada przebiegała w Woodmont górą, nad wszystkimi budynkami prócz najwyższych, ale zjazd z niej prowadził niemal prosto do dzielnicy handlowej. Indygo boleśnie zaciskał dłoń na przegubie Joey, kiedy ją wciągał w rozgrzany mrok między filarami. Rzecz dziwna, hałas panował tu mniejszy, niż sobie wyobrażała, jak gdyby ciemności tłumy głuchy ryk drogi nad głowami.

- Tędy - powiedział Indygo.

Joey dreptała za nim po splekanym chodniku, omijała kałuże stojącej wody i zwały śmieci, lecz i tak uwalniała buty smarem. W przyćmionym świetle mijali ich jakieś postacie lub uciekały przed nimi, popychały rozklekotane wózki ze sklepów, ścisnęły pod pachami wielkie płyty tektury albo zmagaly się z wypchanymi zielonymi reklamówkami, niczym smętne święte Mikołaje. Nikt nie odzywał się do Indyga i Joey, nie prosił nawet o drobne. Niektóre kobiety patrzyły prosto na nich, mężczyźni nigdy.

Joey chwytając uchem muzykę Shei'rahu przez jakiś czas, zanim w tym otoczeniu naprawdę ją usłyszała. Muzyka rozbrzmiewała taką urazą, jaka wyzierała z oczu ludzi pod autostradą, trzepocząc wydobywała się gdzieś na przodzie z jednego rogu tylko po to, aby znów okuleć, a jednak to Shei'rah dawał o sobie znać. Joey stanęła nieruchomo.

Indygo skinął na nią niecierpliwie.

- Chodź. Czy nie chciałaś zobaczyć kogoś z Najstarszych żyjącego na twoim świecie, w twoim mieście, w twoich czasach? Chodź, oto ona.

Szedł, nie oglądając się do tyłu, i Joey po chwili ruszyła za nim.

Kobieta siedziała na stosie starych gazet, plecami oparta o filar, i grała na szkarłatnym rogu, który miał długość prawie połowy jej ciała. Warstwy jej odzieży były w kolorze martwej skóry, gęste rude włosy brudne, twarz o guzowatej brodzie pociągła, oczy blade, z zewnętrznymi kącikami skierowanymi skośnie w dół. Jej uśmiech jednak, kiedy rozpoznała Indyga, promieniował wyraźnym ciepłem samej Granicy, kiedy zaś uniosła róg niczym królewski trębacz, na mgnienie oka muzyka ShePra-hu przeszła serce Joey nieoczekiwanie, z zaskoczenia, tak jak zawsze. Ale ucichła szybko, postrzępiła się i rozplotła, odpłynęła jak woda po ziemi zbyt suchej, aby ją wchłonąć. Kobieta wzruszyła ramionami z pozorną beztroską.

- Och, mój Boże - cicho powiedziała Joey. Przepchnęła się obok Indyga i stając przed kobietą, spytała: - Co tutaj robisz? Ty tu nie należysz. Musisz wracać do Shei'rahu.

Blade oczy kobiety - podpuchnięte, zabarwione czerwienią, ale wciąż tak boleśnie czyste jak niebo Shefrahu - obserwowały ją z lodowatym spokojem.

- Podoba mi się tutaj - odparła. Sięgnęła po brudny styro pianowy kubek i podsunęła go Joey, potrząsając paroma mo netami, tak jak John Papas potrząsał swoim drewnianym pu dełkiem.

Joey z trudem powstrzymała się od złapania kobiety za pro ste, chude ramiona.

- O czym ty mówisz? Nie może ci się podobać zebranie na ulicy, granie tego za drobne monety! Pamiętasz Shei'rah, wieni o tym, wiem, że pamiętasz! Tam jesteś na szczycie, jesteś jak księżniczka, to twój świat. Co ty wyprawiasz?

Kobieta sennie kiwała głową do stojącego za Joey Indyga, który wysunął się do przodu i przykucnął, zapatrzone tylko w jej oczy.

- Mnie też się tu podoba - przemówił bardzo cicho. - Jak się masz, Valady?

- Indygo - wymamrotała kobieta. Opuściła róg i spoglądała na chłopca tak bacznie jak on na nią. Joey cofnęła się z uczu ciem, że jest niewidoczna i wykluczona z towarzystwa. Jedn3 stopą pośliznęła się na czymś, na co wołała nie patrzeć, więc z& złością ocierała ją o chodnik, który wydawał się równie daleki jak Shei'rah. Indygo mówił coś, czego Joey nie mogła dosłyszeć, lecz w jego głosie dźwięczała zdumiewająca czułość. Kobiet^ roześmiała się w odpowiedzi i rzekła wyraźnie:

- Nie, tu jest ładnie. To ładne.

Coś mocno potrąciło Joey od tyłu, o mało nie zważyła jej z nóg. Krępy, łysiejący Murzyn z nierówno posiwiałą brodą odtf pchnął wózkem na zakupy ją i Indyga, który cofnął się szybko

- Mam coś dla ciebie - zwrócił się Murzyn do kobiety &t chawicznym głosem astmatyka. Grzebał w nieokreślonej za" waf tości wózka, dopóki na powierzchni nie ukazała się zatłusz^czC na biała torba. - Kawałek pizzy i freskę bez cukru. No, jedz-

Kobieta uśmiechnęła się bez pośpiechu i wzięła od niego torbę. Poczęstowała go kawałkiem krzepnącej pizzy, ale on z s0 panem pokręcił głową.

- Nie, mała, to dla ciebie. No już, zjadaj. - Położył przy ni^j rozpostartą gazetę, usiadł ostrożnie, ciężkim ramieniem otoczy plecy kobiety i dopiero wtedy pozwolił swym oczom spocząć r» Indygu i Joey. -To moja pani - oświadczył zdecydowanie. — J steśmy razem.

- Tak - odparł Indygo z wielką delikatnością. -Tak. Widzę.
- Nieznacznym gestem pożegnania dotknął swego czoła w miej scu, gdzie powinien być róg. Kobieta leniwie uniosła swój szkar łatny róg i zagrziała mu krótką fanfarą prosto z Shei'rahu. In dygo odwrócił się i odszedł.

Joey kroczyła szybko, ze spuszczoną głową, jakby maszero wała pod wiatr, i teraz z kolei on musiał ją gonić. Nie odzywała się, dopóki nie minęli zjazdu i nie oddalili się od autostrady. Wtedy powiedziała:

- To było straszne. Siedzi tam na śmieciach, odżywia się pizzą... Najstarsza! To najobrzydliwsza, najgorsza rzecz, jaką w życiu widziałam.

- Bardzo ciekawe. - Indygo miał głos oschły, ale bynajmniej nie szydrczy. - Otóż jestem Najstarszym, mam znacznie więcej lat niż ty, a doprawdy nic piękniejszego jeszcze nie widziałem. Ty nigdy tego nie zrozumiesz.

- Nie - zgodziła się Joey. - Nigdy. - Oczy miała przez cały czas spuszczone, więc nie widziała, kiedy Indygo odszedł.

W

pierwszą niedzielę po swoim powrocie Joey autobusem pojechała odwiedzić Abuelitę w schronisku Srebrne Sosny. Robiła to co tydzień, niezależnie od tego, czy towarzyszyła jej rodzina. Abuelita już wcześniej zeszła na dół i czekała na twardej ławeczce przy drzwiach frontowych, gdzie pensjonariusze mieli spotykać się z gośćmi. Miała na sobie wystrzępioną, starą kwiecistą sukienkę, za którą Joey od małości przepadała, odwieczne słomkowe sandały i czarne wełniane *reboso*, które w każdą pogodę nosiła zarzucone na ramiona. Szerokim indiańskim nosem dotknęła brody Joey, kiedy się obejmowały.

Recepcjonistka, pokryta meszkiem blondynka -Abuelita nazywał ją *la bizcocha rubia* - zagrychała do nich, jak zawsze, kiedy razem wpisywały się do książki wyjść.

- Ślicznie, wszyscy to mówią! A teraz wybieramy się na małą cotygodniową przechadzkę, prawda? Jak to miło.

Uroczystą, dokładną angielszczyzną, którą jeszcze umiała się posługiwać, kiedy zadała sobie fatygę, Abuelita odrzekła:

- Nie, ja idę na spacer z moją wnuczką Josefiną. Pani zostanie tutaj i będzie się modlić, żeby nikt nie umarł przed pani lunchem. Chodź, Fino. - Mrugnęła na Joey, kiedy się odwracała, ten ruch przypominał jednak zamknięcie drzwi.

- Nie ucięłam drzemki - podjęła po hiszpańsku, biorąc Joey pod rękę. - Tego nie lubią. Myślę, że kiedy śpimy, oni sobie dokazują.- Za ich plecami *la bizcocha rubia* wciąż od nowa, coraz głośniej i głośniej, powtarzała złażawionemu staremu mężczyźnie w szlafroku:

- Nie może jej pan znaleźć, panie Gerber, bo od dwóch tygodni jest w szpitalu. Jest w szpitalu, panie Gerber!

Abuelita spokojnie powiedziała do Joey:

- Jego żona umarła. Tamta kobieta, ta, która ma nas informować o tych rzeczach, jest na urlopie. Powie mu w przyszłym tygodniu, kiedy wróci.

- Nie cierpię tego miejsca - oświadczyła Joey. - Nie znoszę jedzenia, nie znoszę *zapachu* - pachnie tu jak w szpitalu, tylko że oni nawet nie próbują nikogo leczyć, jedynie uciszają. Chciałabym, żebyś znów zamieszkała z nami.

Abuelita położyła rękę na jej ramionach.

- Nic by z tego nie wyszło, Fino. Jestem za stara, zbyt uparta i małostkowa na mieszkanie z kimkolwiek, naprawdę... pewnie i z twoim dziadkiem, gdyby mógł wrócić. A nie mogę mieszkać sama, wiem o tym, że względu na artretyzm i na to, że się czasami przewracam. Więc dla mnie to miejsce jest jak każde inne, nie gorsze i nie lepsze. Chodźmy teraz na spacer, dobrze?

Srebrne Sosny wybudowano na niskim wzgórzu z widokiem na dwie autostrady i cmentarz. Abuelicie wydawało się to zabawne; no, ale jej poczucie humoru zawsze niepokoiło wszystkich członków rodziny z wyjątkiem Joey. Babka i wnuczka, swobodnie gawędząc po hiszpańsku, szły pod rękę dokoła basenu, w stronę pola golfowego, które stanowiło najważniejszy element życia towarzyskiego w schronisku. Tuż za nim znajdował się mały, starannie zaprojektowany park; pensjonariuszy zachęcano do zażywania tam przechadzek, tam też odbywały się cotygodniowe pokazy talentów, czasami lekcje tai-chi. Joey i Abuelita wolnym krokiem okrążyły cały park w jedenaście minut. Zazwyczaj robiły to trzy razy.

Dopiero w drugim okrążeniu Joey zdołała zapytać z wahaniem:

- Czy wierzysz w istnienie innych światów, Abuelito? Nie takich jak planety, nie o to mi chodzi. Po prostu innych, innych miejsc, rzeczywiście bliskich, a niewidocznych?

Stara kobieta spojrzała na nią lekko zdziwiona.

- Naturalnie, Fino. Wierzę w to miejsce, gdzie czeka na mnie twój dziadek Ricardo, skąd nas obserwuje. Jakżeby nie?

- Cóż, właściwie nie miałam na myśli nieba ani niczego takiego - powiedziała Joey. - No, niezupełnie.

Chichot Abuelity był ciepły i niewesoły.

- Ja też nie. Znałam twojego dziadka. - Z większą uwagą popatrzyła w twarz Joey. - W moim wieku, Fino, mogę wierzyć, w co chcę i jak długo chcę. Więc może tak, może mogłabym uwierzyć w jakiś inny świat, może w mnóstwo światów, kto wie? Dlaczego pytasz?

Joey głęboko wciągnęła w płuca powietrze i wypuszczała je szybko, z cichymi sapnięciami.

- Bo ja... bo... nie wiem, Abuelito. Mniejsza z tym.

Jej babka się zatrzymała.

- Co, Fino? - Zdziwiająco silną rękę o serdelkowatych palcach zacisnęła na przegubie Joey. - *Gatita, pajarita*, co to jest? Powiedz.

- Bo - zaczęła Joey. Znów odetchnęła głęboko. Nagle przeczuciła się na angielski i wybuchnęła. - Bo naprawdę jest inny świat, inne miejsce, coś, i ja tam byłam. Mieszkają tam satyry i feniksy, dwugłowe węże i jednorożce, Abuelito, tylko że one nazywają siebie Najstarszymi i komponują tę muzykę, ona z nich wypływa, nie przypomina nic, o czym umiałabym ci opowiedzieć. I są ludzie żyjący w wodzie, i można tam zostać długo, tak jak ja, a tutaj nikt nie wie, że się zniknęło. I to mi się nie śniło, Abuelito, nie zmyślam tego, naprawdę, naprawdę nie. Nazywa się to Shei'rah, i ja tam byłam.

Abuelita podniosła obie ręce, niby się poddając.

- *Socorro, despacio*, wolniej, wolniej, Fino. Jestem stara, nie mogę słuchać tak szybko, jak ty możesz mówić. - Śmiała się, lecz w oczach miała spokój i powagę. - Opowiedz mi o tym, Fino. Powoli. Po hiszpańsku.

Tego dnia znacznie więcej razy niż zwykle obeszły mały park dokoła, na co żadna z nich nie zwróciła uwagi. Ostatnie okrażenie zrobiły w milczeniu, które nagle przerwał okrzyk:

- Pani Rivera! Pani Rivera! - Joey podniosła wzrok i zobaczyła jedną z pracownic Srebrnych Sosen śpieszącą w ich stronę przez pole golfowe.

- *Mierda!* - powiedziała Abuelita. - Zapomniałam o badaniu. Zawsze tacy są ciekawi, jak długo jeszcze mogę potrzebować łóżka. - Pomachała kobiecie, po czym się odwróciła i delikatnie ujęła twarz Joey w dłonie. - Posłuchaj, Fino, muszę się zastanowić nad tym, co usłyszałam. Po prostu muszę trochę po-

myśleć. Rozumiesz? - Joey kiwnęła głową. Abuelita podjęła: -W tym miejscu, w tym Shei'rahu... czy przypadkiem nie widziałas gdzieś swojego Abuelo Ricardo? Nie. Głupstwo. - Znów pomachała i odkrzyknęła: - Idziemy, *señorita* Ashleigh! Niech pani nie biegnie, dostanie pani ataku serca i umieszczą panią razem ze mną!

MIAŁY DNI. Joey chodziła do szkoły, pozostawała w dość dobrych stosunkach z rodzicami, kiedy byli w domu, regularnie kłóciła się ze swoim bratem Scottem, od czasu do czasu sypiała w domu BeeBee Huang, parę razy na tydzień wykonywała po południu dorywcze prace w sklepie muzycznym Papasa i nabrała zwyczaju baczego wpatrywania się w oczy ulicznych grajków, bezdomnych mężczyzn i kobiet, slaniających się na nogach, trochę pomyłonych żebraków, którzy na mocy zarządzenia władz miejskich w ogóle w Woodmont nie istnieli. Nie spotkała innych Najstarszych, nigdy jednak nie przestała się za nimi rozglądać.

Indygo nie wrócił. John Papas chodził po sklepie, szurając nogami, w nietypowy dla siebie sposób zirytowany, i często zniknął, aby prowadzić tajemnicze rozmowy przez telefon, na ogół długie i zawsze po grecku. Często odrywał Joey od zwykłych zajęć, aby naprędce udzielić jej lekcji muzyki, i ustawicznie powtarzał:

- Pisz, pisz, musisz zapisywać to, co tam, w tym miejscu, słyszysz. Co z tego, że słyszysz, jeśli nie potrafisz utrwalić?

Joey usilnie starała się pamiętać o triadach i nutach przejściowych, dziesiątkach i siódemkach w tonacji minorowej, o cyklu piątek, lecz słowa i cyfry, same klawisze zdawały się mieć tak niewiele wspólnego z powietrzem wdychanym w Shei'rahu, że często, podnosząc ręce, wypadała ze sklepu z trzasnięciem drzwi, od którego brzęczały stare szybki. Ale zawsze na drugi dzień wracała. Mogła pójść jeszcze tylko w jedno miejsce.

A bała się ponownej próby. John Papas zadawał jej coraz więcej pytań, w miarę jak dni płynęły, Indygo zaś się nie zjawiał.

- Czy nie myślisz czasem, że może zdołałabyś odnaleźć to miejsce, tę Granicę? Tylko, wiesz... po to, żeby się przekonać.

Joey kiwnęła głową i odwróciła się od albumów, które układała.

- Myślę stale. Właściwie w każdej minucie.

John Papas z rozmysłem spojrział w bok i wymamrotał, prostując:

- No cóż, może należałoby spróbować. Nie byłoby w tym nic złego.

- Byłoby - odparła Joey. - Byłoby dla mnie. I tak przechodzę tamtędy dwa razy dziennie i za każdym razem myślę: *dobra, to dzisiaj, tym razem naprawdę pójdę do następnej przecznicy albo bliżej i będzie Shei'rah, Shei'rah i muzyka, i Najstarsi, i wszyscy, w tej chwili, natychmiast.* Ale nigdy tego nie robię. Bo co by było, gdybym poszła tą ulicą i gdyby nic się nie stało? Żadnej muzyki, żadnej Granicy, żadnego Shei'rahu, po prostu nic. Nie mogłabym tego znieść, proszę pana. Wolę nie wiedzieć, wie pan? - Nie płakała, lecz czuła, że jej oczy są jak zimne, ciężkie kamienie.

- Taak - przyznał John Papas głosem stłumionym i bez wyrazu, kładąc rękę na jej ramieniu. - Taak, wiem, Josephine Angelina Rivera. Ale przez całe życie człowiek musi się przekonywać. Wierz mi, to lepsze. O tym też wiem. - Po chwili dodał nieśmiało: - Ten chłopiec, ten Indygo, kto wie, może byś go tam zobaczyła. - Joey podniosła na niego wzrok. John Papas ciągnął: - Mogłabyś mu powiedzieć, że Papas zbiera pieniądze. Zajmie mi to jeszcze tylko trochę czasu. Pamiętałabyś o tym?

- Pamiętam - rzekła Joey. Uwolniła ramię od jego ręki. - Pamiętam, że chce pan mieć jego róg, a na niczym innym panu nie zależy. Ani na nim, ani na muzyce, ani na mnie. Taak, powinien się pan wstydzić.

Przez resztę popołudnia pracowała, nie odzywając się do niego, a John Papas siedział w swoim kantorku, dopóki nie wyszła.

Już NASTĘPNEGO WIECZORA jednak, kiedy na niebie ukazał się nowy półksiężyc, wbrew wszelkim obawom Joey, że Granica przesunęła się za daleko, aby ją potrafiła znaleźć, bladose-brzysty pył w powietrzu był dokładnie tam, gdzie wyszła z Shei'rahu, tuż za skrzynką pocztową na skrzyżowaniu ulic Alo-mar i Valencia. Joey przez długą chwilę stała nieruchomo; mijały ją samochody i autobusy, a jej rówieśnicy przemykali na połyskliwych neonowych tyżworolkach, spoglądając na nią z lekką pogardą. Potem zrobiła dwa kroki do przodu i już śmiała się

i płakała w cuchnących ramionach Ko pod żółtym jak kwiat gorczycznika słońcem Shei'rahu.

- Skąd wiedziałeś? - spytała, odzyskawszy głos. - Jak się domyśliłeś, że będę przechodzić akurat tutaj, właśnie w tej chwili? Tourią, to łaskocze... - bo róg delikatnie musnął jej policzek, ciepły oddech zaś poruszył włoskami na jej karku. Rozpromieniony satyr gładził bródkę obiema brudnymi rękami.

- Tym wyczułem, córko - wyjaśnił z dumą. - My, tiruje, poznajemy różne rzeczy brodami. Ilekroć mamy wątpliwości, nie jesteśmy pewni, któryś z nas mówi: „Pamiętaj, kieruj się brodą”. Zawsze to robimy, a ona zawsze prowadzi nas tam, gdzie być powinniśmy. - Znów ją uściśnęła i odstąpił na bok, aby mogła się wdrapać na grzbiet czekającego żrebaka. Tourią wrzasnęła głosem równie donośnym jak bojowy okrzyk Księżniczki Li-shy i stanął dęba w przyptywie takiej szalonej radości, że Joey o mało nie ześliznęła się na ziemię. Ko złapał ją, wołając: - Uwważaj na moją córkę, Najstarszy! Czy tak witasz gościa Pana Sin-tiego, przybyłą z innego świata siostrę jalli ze strumienia? Sam ją zaniosę, jeśli tak ją traktujesz.

Tourią potulnie zwiesił głowę, zaczekał, aż Joey wyprostuje się na jego grzbiecie, po czym ruszył przed siebie z tak udawaną, pełną wdzięku rozwagą, że biegnący obok Ko wybuchnął śmiechem, podskoczył w górę i klasnął racicami. W ten sposób Joey wróciła do Shei'rahu, z twarzą przytuloną do wygiętej szyi rozbrykanego jednorożca, z rozbrzmiewającym w uszach donośnym, ochrypłym i ciepłym śmiechem pół człowieka, pół kozła, który wołał do niej:

- Witaj w domu, córko! Witaj w domu! - A wraz z jego okrzykiem napływała radosna muzyka Shei'rahu.

Nigdy właściwie się nie dowiedziała, ani wtedy, ani po żadnym innym powrocie, czy pod jej nieobecność w Shei'rahu upływały tygodnie, miesiące albo nawet lata. Najbliższa zrozumienia była wtedy, kiedy Pan Sinti powiedział:

- To, że Shei'rah styka się z waszym światem, nie oznacza, iż oba poruszają się we wszechświecie z tą samą prędkością. Wyobraź sobie, że dosiadasz swojego towarzysza Tourią, a ja nie jestem Najstarszym, tylko kadrusem - miał na myśli ol brzymiego, bezkostnego, czworonożnego ślimaka ze wzgórz Shei'rahu. - Mogłabyś trzydzieści razy oblecieć świat dokoła,



%



zanim ja z trudem przebyłbym dzielącą nas teraz odległość. A gdybyś wtedy przeskoczyła z grzbietu Touriãa na mój - no, czy w ogóle poczułabyś, że pokonałaś jakąś odległość? Tak to jest z Shei'rahem i twoim Woodmont w Kalifornii. - To wyjaśnienie musiało jej wystarczyć.

W czasie tego jej drugiego pobytu opadły niebieskie liście - ale bynajmniej nie czerwone w Lesie Zachodzącego Słońca - noce zaś były na tyle chłodne, że do spania mościła sobie gniazda z mchu, jak tiruje. Więc jednak w Shei'rahu są pory roku. Dla niej Touriã i jego przyjaciele się nie zmienili (może wydawali się trochę wyżsi, ich miękkie młode grzywy nieco bujniejsze); ale miniaturowe smoki, rodzina shendich, chyba niepokojąco zmałały, dopóki Joey się nie zorientowała, że są to młode, które wykluły się zaledwie przed miesiącem. Perytony natomiast, nawet kiedy drząc patrzyła na nie z bezpiecznej odległości, wyglądały na dziwnie powiększone, bo okryły się suknią zimową, jak cała płowa zwierzyna. Straszne dwugłowe jakhao zniknęły, przesypany chłodną porę w odwiecznych jaskiniach, gdzie się narodziły, jak powiedział jej Ko. Joey zauważyła plamę siwizny w tłustym, kędzierzawym zaroście na jego piersi, choć mogłaby przysiąc, że przedtem jej tam nie było. Satyr uparcie twierdził, że to tylko dobry brud Shei'rahu, więc na tym stanęło.

Jalla pozostała taka niezmienna jak wody jej strumienia - tym bardziej, że one zrobiły się jeszcze zimniejsze niż w pamięci Joey, podczas gdy jalla była ciepła jak wyrwane właśnie ze snu dziecko, które przypominała. Kiedy stało się dla niej jasne, że o tej porze roku Joey nie zamierza zanurzyć w wodzie nawet palca u nogi, siostra z Shei'rahu wylazła na brzeg i mokra rzuciła się Joey w ramiona, śmiejąc się i całując ją, kiedy turlały się po ziemi.

- Jak długo cię nie było! Myślałam, że jesteś już starą, bardzo starą kobietą!

Joey, tak przemoczona, jakby zażyła kąpieli, zaczęła jalli tłumaczyć różnicę czasu; ta jednak prędko się znudziła i zapragnęła usłyszeć coś więcej o autostradach i paluszkach rybnych. Na te ostatnie zapatrywała się w sposób całkiem oryginalny.

Drugi pobyt straszliwie szybko upływał Joey, która nigdy nie miała pewności, czy trafi tutaj następnym razem. Dzieliła czas, jak umiała najlepiej, między wyścigi, wędrówki i znów wy-

ścigi z Tourią i innymi młodymi jednorożcami, poznawała opowieści, leki i pradawne tajemnice tirujów, zносиła lodowatą górską wodę strumienia jalli ze względu na jej szalony śmiech i szaleńczą czułość. Jalla koniecznie chciała pomagać w przepierkach i z nielicznymi sztukami odzieży Joey pomykała w górę i w dół strumienia, wymachując nimi jak zdobycznymi sztandarami, dramatycznie tłukąc nimi o kamienie. Odzież i brud były dla jalli pojęciami jednakowo fascynującymi.

Wielkich Najstarszych Joey nie widywała w ogóle. Tourią - bardzo dumny z tego, że po raz pierwszy nie przebywa z matką - wyjaśnił, iż o tej porze roku najstarsze jednorożce usuwają się z Panem Sintim do części Lasu Zachodzącego Słońca nie znanej nawet tirujom. Joey natychmiast powzięła mocne postanowienie, że odnajdzie to miejsce, i godzinami samotnie grasowała po lesie, wsłuchując się w ciche rozmowy czerwonych liści i pomruki dziwnych stworzeń, które wierciły się w swych głębokich zimowych legowiskach. W takich razach najwyraźniej słyszała, obojętne, z bliska czy z daleka, muzykę Shei'rahu.

Raz o zmierzchu obeszła dookoła krzak i zaskoczona stanęła oko w oko z parą ptaków ubarwionych jak sójki, lecz większych, o długich nogach brodzieców i sterzących czubkach kalifornijskich przepiórek. Ich pióra, jakby oświetlone od środka, roztaczały krąg gwiazdzistej niebieskiej poświaty, kiedy ptaki bez pośpiechu dreptały przed Joey. Ko powiedział jej potem, że nazywają się erciny, a ich fosforyzujący ślad zaprowadzi ją w bezpieczne miejsce, jeśli kiedykolwiek się zgubi. Tego jednak nigdy się nie bała: w Lesie Zachodzącego Słońca nie sposób się zgubić.

O tej porze roku shendi rzadko się pokazywały, criyaqui wcale, a perytony chyba na razie polowały gdzieś indziej. Joey jedno całe popołudnie spędziła na wzrokowych zmaganiach ze stworzeniem o kocim pysku, którego krzepkie, pokryte łuskami ciało utrzymywało się na nogach pozornie tak pozbawionych kości i nieskończenie giętkich jak ogrodowy wąż do podlewania. Porozumieć się z nim było trudno, bo znajdowało się na ziemi, Joey zaś przezornie na drzewie, choć najwyraźniej ją zapraszało, aby zeszła i złożyła mu wizytę. Odmówiła, ono pod wieczór zniknęło, ale Joey i tak spędziła noc na drzewie.

- Nie było tutejsze - powiedział Ko, kiedy je opisała. - Zda-

niem Najstarszych jest wielkie mnóstwo światów poza twoim i moim, córko. Jeśli to prawda, czy nie może też być innych granic?

- Och, to mi się nie podoba - odparła Joey, teraz bardziej oburzona niż przestraszona. - Nie cierpię tego. Za dużo tego i jest za straszne.

Ko, wzdychając, wzruszył ramionami, podrapał się w kudłatą głowę i rzekł z krzywym uśmiechem:

- No cóż, my, tiruje, często o takich rzeczach nie rozmyśla my. Bolą nas od tego głowy.

Joey długo wpatrywała się w niego bez słowa. Pod wpływem nagłego impulsu zadała pytanie:

- Ko, ile to jest sto osiemdziesiąt siedem lat? Dla was? Tak naprawdę.

Satyr zaniepokojony unikał jej wzroku. Joey powtórzyła pytanie. Odpowiedź Ko, kiedy wreszcie jej udzielił, trudno było usłyszeć.

- Dla jednego z nas to byłby prawie twój wiek. Niemal dokładnie.

- No - rzekła Joey - ty oszuście! Wciąż nazywasz mnie córką, a jesteś takim samym nieznośnym dzieciakiem jak ja, jak Tourią. Ko, ty cały czas udajesz!

- Jestem starszy niż Tourią - wymamrotał Ko. Miał bardzo nieszczęśliwą minę, więc dopóki się nie rozchmurzył, Joey musiała go ścisnąć i zapewniać, że zawsze robił wrażenie o wiele starszego niż w rzeczywistości.

NIE WIDZIAŁA ŻADNEGO najstarszego z Najstarszych z bliska, tylko raz mignęły jej dwa cienie, które mogłyby być cieniami Księżniczki Lishy i jej ukochanego, karkadanna Tamirao, spacerujących wolno w półmroku. Ale właśnie w trakcie poszukiwań, mimo woli dokonała niepożądanego odkrycia. Natrafiła na kości jednorożca.

Było to w wyżynnej, pustynnej części Shei'rahu: na omiatanym przez wiatr pustkowiu, gdzie chodziła rzadko z powodu jakhao i dlatego, że tam zawsze za bardzo martwiła się o Abu-elitę i poczuwała się do winy, że zbyt nie tęskni za pozostałymi członkami rodziny. Wielkie węże jednak nie zagrażały, ukryte o tej porze roku pod ziemią; a Joey akurat zaczęła poważnie się zastanawiać, czy potrafiłaby narysować mapę całe-

go Shei'rahu, do czego natychmiast zabrałaby się z BeeBee Huang. Joey siedziała na skamieniałym pniu drzewa, w zadumie rysując na piasku patykami, gdy natrafiła na coś twardego, co gołymi rękami zdołała wykopać. Upłynęło znacznie więcej czasu, niż powinno, zanim zrozumiała znaczenie znaleziska.

Nie dało się powiedzieć, który z Najstarszych spoczywa w piasku. Siedziała chwilę, trzymając delikatną czaszkę i długie, wciąż eleganckie kości; następnie odłożyła je z jak największą starannością, odmówiła paciorek, którego nauczyła ją babka, i odeszła.

Słowem nie wspomniała o tym Ko ani Touriąowi, nie pozwalała też sobie na dłuższe rozmyślenia o tym, co można wnieść ze znaleziska. Wolała spędzać dużo czasu w towarzystwie jalli albo tirujów, bo ani jej, ani ich wcale nie interesowały sekrety Najstarszych. Wszyscy oni zapewniali zycliwe, wierne towarzystwo, a Joey pławiła się w nim do tego stopnia, że dostała kataru od ciągłej nauki pływania polegającego na nieokreślonym skręcie całego ciała. Jeszcze czuła się nie najlepiej tego ranka, kiedy poczuła w sobie głos Pana Sintiego, który powiedział: „Już czas”, i Tourią przyszedł, aby poprowadzić ją do Granicy.

Bardzo liczyła na spotkanie po drodze z samym Sintim. Miała do niego pytania, a wyczuwała, że czarny jednorożec może być niedaleko. On jednak się nie zjawił. Już niemal na Granicy zwróciła się w jakiejś sprawie do Tourią, gdy wtem zapachniało mydło kąpielowe i ujrzała idącego obok Indyga.

- Twój przyjaciel pomknął załatwić jakieś głupstwo - wyjaśnił. - Prędko przygna z powrotem.

Choć użył takich słów, w jego głosie nie było zwykłej buty. Joey przystanąła, mówiąc:

- Wy umieracie.

- Nie jesteśmy nieśmiertelni - odparł Indygo - tylko bardzo, bardzo starzy. Nie wszyscy też spędzamy z Panem Sintim zimne miesiące w odosobnieniu, pogrążeni w medytacjach. Z nadejściem wiosny ten czy ów czasem nie wraca - wtedy Najstarsi mówią, że po prostu odszedł, zamknął się w Wielkiej Samotności, co prędzej czy później robi każdy. To ich pierwsze kłamstwo. Drugie znasz.

- Dlaczego? - szepnęła Joey. - Dlaczego nie mogą powiedzieć młodym prawdy wprost? Każdy umiera.

- Stare kłamstwa po dłuższym okresie stają się prawdą. To bardzo stare kłamstwo, starsze niż sam Pan Sinti. Kiedy się ktoś dostatecznie zestarzeje, też zaczyna kłamać. Czy po waszej stronie Granicy jest całkiem inaczej? - Joey nie odpowiedziała, więc podjął: - Nie wiem, skąd się to wzięło. Wiem jedno, że nie będę w tym uczestniczyć.

- Aha - rzekła Joey. - Więc przychodzisz prowadzić uczciwe życie po mojej stronie Granicy. Dureń.

- Poznałaś inną Najstarszą, która czuje to samo co ja. - Po raz pierwszy Indygo jakby się bronił. - Jest ich o wiele więcej.

- No, jeśli oni wszyscy żyją tak jak tamta, to chyba macie kłopot. - Joey słyszała we własnym tonie identyczną pogardę, jaka zawsze dźwięczała w tonie Indyga, i uczyniła beznadziejny, wysiłek, aby ją złagodzić. - Po prostu uważam to za takie głupie i chciałabym, żebyś tego nie robił, nic więcej.

- To niemądre - cicho przyznał Indygo. - Oczywiście jest niemądre i najwyżej paru z nas dokonuje takiego wyboru. Ale to nasza decyzja, pierwsza, jaką ktokolwiek z nas kiedyś podjął. Nie próbuj sobie wyobrażać, czym dla jednoroźca jest choćby głupi wybór. Nigdy ci się to nie uda, mieszkanko innego świata.

Pod wpływem impulsu Joey położyła ręce na jego twarzy, tak jak jej to zrobiła Abuelita. Powiedziała:

- Indygo, kobieta pod autostradą nadal ma swój róg. Założę się, że ci inni też. Założę się, że żaden Najstarszy nigdy nie sprzedał swojego rogu. - Indygo szarpnął się do tyłu i potrząsnął głową. - Ty chcesz sprzedać swój, więc będziesz miał pieniądze, aby żyć lepiej niż oni. Ale im się uda, oni będą żyć, a ty umrzesz. Pan Sinti mówił prawdę. Umrzesz, Indygo.

Ledwie dosłyszała odpowiedź białego jednoroźca:

- Ale będę żyć! *Będę żyć!*

Oddalił się, po chwili zaś wrócił Tourią z pękiem nawilgłych cebulek w zębach.

- To dla ciebie... nazywamy je mormarek. Są już dość stare, ale podczas jedzenia możesz pomyśleć o mnie i mojej matce, o Ko i Shei'rahu. - Kiedy Joey na pożegnanie objęła go za szyję, żrebak szepnął: - Wracaj prędko. Tęsknię za tobą.

Nigdy w życiu nikt prócz Abuelity nie zwrócił się tak do Joey, toteż ronila łzy, przekraczając Granicę. Nie po raz ostatni.

Roział Ósmy

Skończył się rok szkolny. Scott, braciszek Joey, pojechał na obóz piłkarski, a ich rodzice nad Zatokę San Francisco na doroczny dwutygodniowy urlop z rodziną pani Rivera. Po wielu prośbach i dłuższym spiskowaniu Joey, pozwolono jej zostać u BeeBee Huang, każdą wolną chwilę spędzała jednak w sklepie Papasa, ucząc się dokonywać transkrypcji muzyki Shei'rahu na fortepian. Jej szalona niecierpliwość nadmiernie utrudniała zadanie: Joey dość prędko opanowała język notacji muzycznej, lecz przekształcanie niebieskich drzew i małych smoków z Shei'rahu w czarne zakrętas na kartce poplamionego papieru wywoływało u niej napady złego humoru i uczucie zawodu.

- Dlaczego pan nie może tego zrobić? - z jękiem zwracała się wciąż do Johna Papasa. - Ja będę grać, pan może po prostu nagrać to na taśmę, a potem przepisać w wolnej chwili. Dlaczego to ja mam odwalać całe pisanie?

- Bo ty słyszysz muzykę - odpowiadał John Papas z niezmiennym spokojem; w tym wypadku nie dawał się wytrącić z równowagi. - Bo jesteś kimś specjalnym. Ja nie słyszę muzyki tak jak ty... może kiedyś słyszałem, ale teraz już nie, i dlatego nie potrafię zagrać. Bo właściwie to grzech, jak człowiek komuś innemu pozwala spisywać, co czuje, co słyszy. To grzech, mogłabyś stracić ten specjalny charakter, podobnie jak ja skończyć na sprzedawaniu używanych banjo. No, uważaj, czy to nazywasz taktem? Kreska biegnie chwiejnie jak ja, kiedy wychodzę od Provotakisa. A ile razy mam ci powtarzać, że małe chorągiewki zawsze są zwrócone w prawo - półnuta, ćwierćnuta, szesnastka, obojętne. No już.

Więc jej schlebiał, droczył się z nią, przymilał się do niej, popędzał, aż wreszcie ku swemu zdziwieniu zaczęła widzieć Fierez, spoglądającą na nią przez brudne pręty więzienne pięcioletniej, i wyczuwać palcami śmiech jalli, kiedy pstrzyła kartkę ozdobnikami. *Może chwytam Shei'rah. Abuelito, może naprawdę zaczynam go ukazywać.*

Kiedy odważyła się powiedzieć to Johnowi Papasowi, wpatrywał się w nią długo, zanim odrzekł głosem zadziwiająco łagodnym:

- Niece, człowiek nigdy nie ukazuje, Josephine Angelina Rivera. Tego świata, tamtego świata, obojętne. Nigdy nie zmusisz ludzi, żeby widzieli to, co ty widzisz, czuli to, co ty czujesz. Nie sprawią tego nuty, słowa, obrazy, brązy, marmury, nic. Można najwyżej trochę, odrobinę to przybliżyć. Ale ukazać, jak mówisz? Nie. Nie.

Chodziła do Shei'rahu, ilekroć chciała; często przekraczała Granicę przez trzy albo cztery dni z rzędu. Kiedy indziej, świadoma, że świat Najstarszych wchodzi jej w nałóg, bojąc się tego, zmuszała się do pozostawania w Woodmont przez cały tydzień. Granica najwyraźniej obrała chwilowo za ziemskie współrzędne skrzyżowanie Alomar z Valencia - ciemną, wąską uliczką, niewiele lepszą od zaułka; ilekroć jednak Joey przekraczała Granicę, stawiała stopę w innym punkcie Shei'rahu, w lesie albo na łące, na brzegu rzeki lub kamienistym górskim pastwisku, którego nigdy przedtem nie widziała. Ale Ko zawsze przybywał na jej powitanie - często z Tourią - i nieodmiennie powtarzał: „Moja broda wiedziała, córko. Wystarczyło kierować się brodą”. Tylko obecność satyra pozostawała czymś, co zawsze mogła uważać za pewne: z upływem dni Woodmont po prostu przechodziło z lata w jesień, lecz Joey mogła równie łatwo przemienić się z plażowej południowokalifornijskiej pogody w strumienie chłodnego, nagłego deszczu, jak z niosących pożary wiatrów Santa Ana w spokojną błękitną ciszę wiosennej nocy w Shei'rahu. Brakowało w tym logiki, jakiejś wykrywalnej reguły. Joey chętnie przystała na wdzięczność i tajemnicę.

Zaczęła zabierać za Granicę bloczek rysunkowy i parę piór, zdecydowana zrobić możliwie szczegółową mapę Shefrahu. Ko i Tourią prowadzili ją wszędzie, gdzie chciała, wciąż cierpliwi i chętni, choć nieco otumanieni; a jalla, która nigdy nie wycho-

działa ze swego strumienia, tak dokładnie, jak się okazało, znała bieg i początek każdego z krajowych potoków, jakby się urodziła w łożysku każdego.

- Po prostu się na tym znamy - oświadczyła zdumionej Joey. - Wy, ludzie, znacie się na tych rzeczach, o których mi opowiadasz - jak one się nazywają? - na *wyborach* i *tyżworolkach*? My, jalle, znamy się na wodzie. To proste.

Shei'rah jednak nie dawał się poznać, stawiał silny, niemal fizyczny opór. Wzgórza jakby zmieniały swój zarys już w czasie, kiedy Joey cieniowała je na swojej mapie; doliny i przełomy rzek nie tylko skręcały pod jej piórem, lecz także najczęściej wydawały się inne, nie do poznania, kiedy odwracała wzrok, a potem próbowała znów je odnaleźć. Nigdy nie poznała konturów kraju; nie miał innych granic prócz Granicy. Za nią, z wolna zaczynała rozumieć Joey, tylko ulotna muzyka jego jedno-rogich panów nadawała Shei'rahowi rzeczywisty kształt, *a ja jedna mogę nadać kształt muzyce, tak że będzie rzeczywista w moim świecie. Tak że ludzie będą wiedzieli.* Tym razem pośpieszyła do domu podczas pełni księżyca i nie zaprotestowała ani słowem, kiedy John Papas powiedział, że sknociła całą etiudę, którą dla niej przepisał. Usiadła przy jego biurku i poprawiła ćwiczenie natychmiast i znakomicie. John Papas półzartem dotknął jej czoła.

- To robi się do czegoś podobne - stwierdził pewnego po południa, grając na starym klawecie to, co dotychczas spisała.
- Nie wiem właściwie do czego, ale to na pewno jest coś. Może nazwiemy to *Sonatą jednorozców*, jak myślisz?

Joey odparła, że się zgadza.

Do sklepu zaczęli przychodzić przyjaciele Johna Papasa; spokojni mężczyźni i kobiety, którzy mówili niewiele, ale słuchali gry Joey w takim napięciu, że czuła się nieswojo i sama stała się milkliwa, choć oni szeroko otwierali oczy i wyglądali na nieprzytomnych z zachwytu. John Papas twierdził później, że nigdy nie słyszeli takiej muzyki i nie mieli pojęcia, co jej potem powiedzieć.

- Ty ich onieśmielasz, rozumiesz? Słuchaj, to są ludzie, którzy grają na swoich Stradivariusach, Kohnach i Boesendorferach jak świat długi i szeroki, królom, królowym, gwiazdom filmowym, a boją się rozmawiać z tobą, uczennicą szkoły po-

wszechnej Ridgecrest. Co ty na to, dzieciaku, he? A teraz może się trochę przyłożysz do pracy nad tymi inwersjami, dobrze? - Wąsy miał zaniedbane, włosy od wielu dni rozczochrane i dosłownie ani za grosz dumy.

TEGO LATA INDYGO zjawiał się dwukrotnie. Za każdym razem przynosił srebrzystoniebieski róg, za każdym razem wdzięcznie opierał się o łade, brał go do ust i w zatechłym sklepiku wyczarowywał noce i świty Shei'rahu, grał zarówno to, co Najstarsi, jak i to, co criyaqui, aż w końcu nawet pajęczyny po kątach, gdzie Joey nigdy nie mogła sięgnąć, lśniły księżycową poświatą, a Joey zawiedziona waliła w klawisze pianina. Za każdym razem John Papas miał mu do zaoferowania więcej złota, nagromadzonego jakimś sposobem - nie samych monet, lecz klejnotów, a nawet przyborów mszalnych - za każdym razem jednak Indygo wyniośle oznajmiał, że to za mało, choć Joey wyczuwała jego niezdecydowanie gdzieś w głębi siebie, tak jak wyczuwała śmiech jalli.

Raz, kiedy John Papas na chwilę znalazł się poza zasięgiem słuchu, zapytała wprost:

- Nie chcesz go sprzedać, prawda? Po prostu się droczysz, wiesz, że pewnego dnia zapragniesz wrócić do domu. Dlaczego ciągle się tak wygłupiasz?

Indygo odrzekł jej z czymś na kształt zdziwienia:

- Co ci na tym zależy, mieszkanko innego świata? Shei'rah to nie twój dom, a jego mieszkańcy nie są twoimi pobratymcami, choćbyś nie wiem jak udawała. Czemu miałoby ci zależeć?

- Bo tam mam znacznie więcej przyjaciół niż tutaj - odparowała Joey. - Bo tęsknię za nim bardziej niż za tym miejscem. To jakoś czyni go moim domem.

Indygo uśmiechnął się do niej z goryczą i potrząsnął swą piękną głową.

- W takim razie ten twój świat powinien być moim domem, a nie jest i nigdy nie będzie. Shei'rah pozostanie moim domem, kiedy w końcu opuszczę go na zawsze. A mimo to wolę być tutaj. Kiedy dostanę odpowiednią zapłatę za to, z czego rezygnuję.

NIEDZIELNY WIECZÓR PRZED ROZPOCZĘCIEM roku szkolnego był również ostatnim wieczorem przed nowim księżycem. Joey krót-

ko się zastanawiała, czy nie odwiedzić Abuelity kiedy indziej, lecz ustalone zwyczaje miały wtedy dla jej babki ogromne znaczenie. „Są wszystkim, co mi teraz pozostało, Fino - powiedziała kiedyś do Joey. - Ludzie w moim wieku, *niños*, odeszli, przyjaciele odeszli, ciało odchodzi - co pozostaje prócz tego, w jaki sposób lubi się robić różne rzeczy? Gdybym nie miała moich głupich dawnych przyzwyczajęń, nie pamiętałabym, kim jestem, wiesz?”

Joey bardzo dokładnie rozplanowała ten dzień. Księżyc wzejdzie późnym popołudniem: jeśliżapie odpowiednie autobusy, zdąży wrócić do domu dobrze przed obiadem. Chociaż najbliżsi nigdy nie odczują jej braku ani nie będą wiedzieć, jak daleko przebywa, Joey ku własnemu zdziwieniu trzymała się ich kurczowo w te dni, kiedy zamierzała przekroczyć Granicę.

Wszystko przygotowała na zapas-wiedziała już dokładnie, co wsadzić do plecaka przed wizytą w Shei'rahu - pamiętała nawet o ilustrowanej książce, którą miała pokazać jalli, niezdolnej sobie wyobrazić takiej rzeczy. Po spakowaniu się wyruszyła do Srebrnych Sosen, gdzie Abuelita oczekiwała jej na ławeczce.

- Masz zabawne włosy - powiedziała Joey. - Co to za białe coś? Nie jesteś siwa.

Abuelita ze śmiechem klepała się po bokach tak długo, aż jej brązowa skóra prawie poróżowiała.

- Właśnie przestałam je farbować, Fino. Farbowałam włosy, ach, całymi latami. Bo Ricardo przepadał za takimi, czarniusieńkimi. Teraz to za wielki kłopot, Ricardo będzie po prostu musiał wziąć mnie taką, jaka jestem.- Wyściskała Joey i, wciąż się śmiejąc, odsunęła ją na odległość ramienia. - Nie wiedziałś, naprawdę? Kocham cię, Fino.

Ledwie po raz pierwszy obeszły mały park dokoła, Abuelita wolną lewą ręką zdjęła z prawej złotą bransoletkę, wysadzaną kością słoniową, i zręcznie zapięła ją na przegubie wnuczki, zanim ta zrozumiała, co się dzieje.

- Podsuń ją trochę wyżej, dziecko. Ramiona masz za chude.

Joey stanęła jak wryta.

- Nie możesz tego zrobić - wybełkotała, w zaskoczeniu przezruciwszy się na angielski. - Zabierz ją z powrotem, Abuelito, jest zbyt cenna. Nie możesz, ot tak, dać dziecku czegoś podob-

nego. - Niezdarnie zabrała się do otwierania delikatnego starego zameczka.

Abuelita ją powstrzymała, kładąc dłoń na jej ręce.

- Ona zawsze należała do ciebie, Fino, od chwili urodzenia. Chcę widzieć, jak nosisz ją teraz, tutaj, a nie patrzeć na to z nieba. Niebo jest za daleko, oczu nie mam już takich dobrych. - Kiedy oczy Joey napełniły się łzami, stara kobieta ją zbesztła. - Nie zaczynaj się mazgać jak twój brat. To tylko bransoletka, to tylko babka, tylko życie. Ani gorsze, ani lepsze, jak ci mówię; tylko życie, dostatecznie dobre dla każdego.

- Ale ja nie mam nic, co mogłabym ci dać - chlipnęła Joey.

Abuelita rzuciła jej jedno z tych swoich spojrzeń pełnych łagodnej pogardy.

- Nawet jak na małą dziewczynkę odezwanie było tak głupie, że nie będziemy tracić czasu na rozmowę o tym. Wartość tkwi w intencjach, a nie w podarunku. Każdy może oddać jakąś błyskotkę, ale nikt inny nie mógłby mi nigdy ofiarować Fino. Od dnia twoich urodzin nie mogłabym prosić o nic więcej.

Urwała raptownie i stała bardzo cicho, z ręką przy nastawionym uchu.

- Co to? Co ja słyszę?

Joey wstrzymała oddech i nie miała odwagi się odezwać. Daleka i cicha, lecz wyraźna jak bicie jej serca, muzyka figlowała nad dwiema autostradami, kpiarska i czuła, radośnie zaprzeczająca sobie w każdej kadencji: wieszcie, śmiesznie ponętna. I Abuelita ją dosłyszała. Joey rozpoznałaby muzykę Shei'rahu w twarzy babki, nawet gdyby sama stała się na nią całkiem głucha.

Abuelita nieświadomie położyła drugą rękę na piersi, a oczy jej odmłodziły pod wpływem tęsknoty.

- To - szepnęła. - Muzykę marzeń. To mogłabyś mi dać.

- Muzykę marzeń. - Zdawało się, że przemówił z bardzo daleka ktoś, kto nie był Joey. - Słyszysz ją?

- Co noc - odparła Abuelita. - Co noc, aż do świtu, nie wiem, od jak dawna. Śnią mi się takie dziwne miejsca, Fino, nie uwierzyłybyś, jakie dziwne. Twarze, zwierzęta, takie rzeczy; i zawsze ta muzyka. Raz powiedziała mi Brittany - to moja pielęgniarka - jak się nazywają, a ona zrobiła mi zastrzyk. Więc teraz nie mówię o muzyce nikomu. Tylko tobie.

Później, kiedy z miejsca trzeba było udzielić różnych wyjaśnień, a nie nasuwało się żadne wiarygodne, Joey ani przez chwilę nie wątpiła w to, co wtedy odpowiedziała.

- Dobrze - odparła. - Dobrze, Abuelito. Wejdźmy do środka, zabierzmy twój płaszcz i może parę innych rzeczy. Zaprowadzę cię do muzyki marzeń.

W końcu musiały się wymknąć ze Srebrnych Sosen bez pozwolenia. Po pierwsze Abuelita miała na to popołudnie wyznaczony masaż; po drugie pensjonariuszom nigdy nie wolno było opuszczać terenu wyłącznie w towarzystwie nieletnich. W dodatku tego wieczora pokazywano „Harolda i Maud”, a sam pomysł, że stara kobieta gotowa jest zrezygnować z oglądania „Harolda i Maud”, na pierwszy rzut oka zakrawał na podejrzenia. Uciekły im dwa autobusy, zanim Abuelita wreszcie wzięła sprawy w swe ręce i poprowadziła Joey do tylnej bramy, przy której stróż nosił zakazanego walkmana w kieszeni służbowego stroju i nie reagował na nic cichszego od strzelania gaźni-ka ciężarówce. Wymknęły się, nie przeszkodziwszy mu strzelać palcami.

Jak daleko Joey sięgała pamięcią, Abuelita zawsze była w rodzinie poszukiwaczką przygód, tą z osób dorosłych, która mogłaby zaproponować przekopywanie się do Chin, która badała wewnątrz rozkosznie przerażającej opuszczonej chaty albo w lecie wiosłowała po jeziorze do Baja California. Lecz tamta Abuelita, z którą Joey tak często przemierzała pół miasta w poszukiwaniu ulubionej Cyganki wróżącej z dłoni, jakiejś Marii Felix, filmu „Cantinflas” czy przyjaciółki z lat dziecięcych spędzonych w Las Perlas, wydawała się nieomal równie niestrudzona jak jej wnuczka; ta Abuelita natomiast, zaledwie parę lat później, już zdradzała wyraźne oznaki zmęczenia po długich przejazdach autobusem, choć ani się nie skarżyła, ani nie prosiła o wytłumaczenie. Muzyka Shei'rahu nadal w pełni pochłaniała jej uwagę, wciąż kwitła w jej oczach; Abuelita utykała jednak po przejściu paru przecznic, a pod brunatną indiańską skórą Joey dostrzegała rozlewającą się straszliwą błądź.

Do następnego rogu. Księżyc już wzeszedł, to dobrze. Jeszcze jedna przecznica do Alomar, potem znajdziemy się w Shei'rahu i wszystko będzie dobrze. Ona wydobrzeje tam natychmiast.

Ale Granica zniknęła.

Joey zostawiła Abuelitę przy skrzynce pocztowej, żeby odpoczęła, sama zaś miotła się na wszystkie strony, rzucała się coraz bardziej daremnie w jakiś zaułek czy do połowy przechodziła przez jezdnię - wszystko na próżno. Muzykę nadal było słychać mimo gwaru ulicznego na Valencia, lecz mroczniejsze powietrze nie wirowało w znajomym tańcu i nic nie wskazywało, że inny świat o krok oddycha w atmosferze własnego srebrzystego poranka. Granica zniknęła.

Abuelita cierpliwie czekała przy skrzynce pocztowej. Joey zawróciła i wolno podeszła do niej.

- Nie mogę cię zabrać tam, skąd dolatuje muzyka, Abuelito - rzekła. - To jest to miejsce, o którym ci opowiadałam, i umiałam się tam dostać, ale już go nie potrafię znaleźć. Tak mi przykro, strasznie mi przykro.

Babka uśmiechnęła się i pogłaskała ją po włosach.

- Nic nie szkodzi, Fino. Możesz mi o nim opowiedzieć w drodze powrotnej, i to będzie prawie równie dobre. Nie szkodzi, Fino, nie płacz.

- Właśnie, że szkodzi - odparła Joey. - Naprawdę, naprawdę chciałam cię zabrać do Shei'rahu. Bo jest taki szczególny, zbyt wyjątkowy, aby go wytłumaczyć, a nikomu innemu na świecie nie mogłabym go pokazać. Teraz zniknął, po prostu go straciłam i *nigdy więcej* nie znajdę, a ty go nie poznasz. - Nikt prócz babki nie mógłby zrozumieć ostatnich słów.

Abuelita trzymała ją w objęciach tam, na rogu ulicy, nucąc niskim głosem:

- Mała, mała Fino, nadal płaczesz bezdźwięcznie, prawda, *mi corazón?* Więc się nie przejmuj, nie przejmuj się, bo Abuelita uwierzy we wszystko, co jej powiesz, tak jak zawsze. - Joey wyczuła, że babka nagle podnosi wzrok, całe jej ciało zaś sztywnieje i prostuje się ze złości. Po angielsku Abuelita rzuciła ostrym tonem: - Przepraszam, mamy tu prywatne sprawy. Proszę odejść.

Odpowiedział jej głos Indyga, sardonicznie oficjalny:

- Z miłą chęcią. Ale może najpierw pani ją zapyta. - Joey okręciła się w ramionach Abuelity i zobaczyła go, spokojnego i pięknego jak zawsze, w dzinsach, pokrytej bazgrołami trykotowej koszulce i w niebieskiej wiatrówce. Niósł srebrzystoniebieski róg. O zmierzchu, przy kawałku księżyca, jego oczy wydawały się prawie czarne. Rzekł cicho: - Granica się przesunę-

PETER S. BEAGLE

ła. Niedługo, bardzo niedługo nastąpi większe przesunięcie, ale możesz jeszcze do niej dotrzeć. To niedaleko. Joey zagapiła się na niego.

- Przyszedłeś pokazać nam drogę? Dlaczego? Czemu miał byś się fatygować?

Po raz pierwszy uśmiech Indyga był wymuszony i tak kpiar-ski, że nieomal ludzki.

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Chodź.

Abuelita zwróciła się do Joey po hiszpańsku:

- Znasz go? Ani przez chwilę bym mu nie ufała. O wiele za ładny.

Joey roześmiała się bezradnie i wzięła ją w ramiona.

- To Indygo, Abuelito. Długo trzeba by opowiadać. Indygo, to Señora Alicia Ifigenia Sandoval y Rivera. Moja babka.

Ku jej zdumieniu chłopiec ujął dłoń Abuelity z niezwyłą uprzejmością, pochylił się nad nią i złożył na niej pocałunek, jakby witał królową. Abuelita wstrzymała oddech, po czym się uśmiechnęła i kiwnęła głową: królowa przyjmująca należny hołd. Indygo rzekł:

- Jeśli chcesz znów zobaczyć Shei'rah, chodź teraz.

Joey spojrzała na Abuelitę, która oświadczyła:

- Muszę wracać do zakładu, Fino. Ten Shei'rah, czy to nie potrwa za długo?

- Wcale nie długo - odparła Joey. - Solennie obiecuję, że wrócisz do Srebrnych Sosen, zanim się zorientują, że cię nie ma. Ręczę, Abuelito.

- Dobrze - zgodziła się babka. - Więc w porządku. *Vamo-nos, chicos!*

Abuelita kroczyła dzielnie za Indygiem, który je wyprowadzał z ulicy Alomar i, rzecz dziwna, kierował się prosto do dzielnicy handlowej. Teraz jednak wyraźnie utykała i wkrótce Joey i ona przestały nadażać za Indygiem, poruszającym się szybkimi, płynnymi krokami. Kiedy Joey w końcu na niego zawołała, odwrócił się w pół drogi do następnego skrzyżowania i czekał niecierpliwie, aż go dogonią.

- Będziesz musiał ją nieść - powiedziała Joey. - Będziesz musiał się zmienić.

Indygo roześmiał się jej w twarz z nietypową szorstkością i bezpośredniością:

- Nie jestem twoim małym Touriątem. Ja nie noszę.

Abuelita patrzyła to na jedno z nich, to na drugie. Joey oświadczyła z jak największą rozwagą:

- Posłuchaj. To moja babka. Nie obchodzi mnie, czy żyjesz wiecznie, bo nigdy w życiu nikogo takiego nie spotkasz. Zoba czy Shei'rah, jeśli to ostatnia rzecz, jaką kiedykolwiek zrobię, co zaczyna mi się wydawać prawdopodobne. Więc zaniesiesz ją tam, na dwóch czy czterech nogach, jak wolisz. Tylko mi się nie stawiaj, Indy go!

Skończyła i dopiero wtedy uprzytomniła sobie, że krzyczy. Bolało ją gardło, zdziwiony Najstarszy gapił się na nią, a gdzieś w tyle Abuelita dumnie mówiła po angielsku:

- To moja Fina. Nie wiem, o co jej chodzi, ale jest świetna!

Z drugiej strony parkingu - zza chłodno oświetlonej wystawy sklepu meblowego - och, z niedaleka, z niedaleka! - wołała na nich muzyka Shei'rahu.

Indygo bez słowa przyglądał się Joey przez bardzo długą -jak się zdawało - chwilę. Było jeszcze wcześniej, lecz ulice wokół nich już prawie opustoszały, tylko samochody ludzi wracających z pracy kierowały się do domów. Przemknęło paru chłopców na rowerach, za nimi policyjny radiowóz, którego kierowca obrzucił Indyga, Abuelitę i Joey przelotnym, dość zaciekawionym spojrzeniem. Joey usłyszała gwizdek pociągu i żelazny kaszel opuszczanych w oknie sklepowym żaluzji.

- No - rzekł wreszcie Indygo. - No, proszę. Sam Pan Sinti nigdy by się tak do mnie nie odezwał. Na to trzeba było śmier telnego dziecka bez manier, bez cierpliwości i zrozumienia dla rzeczy ważnych. A ty nadal pytasz, dlaczego wołałbym mieszkać po tej stronie Granicy. - Wtedy się uśmiechnął. - Doskona le. Zmienię się, jak prosisz.

Joey prędko odwróciła się do Abuelity i delikatnie chwyciła ją za ramiona.

- Abuelito - powiedziała po hiszpańsku - proszę cię, posłuchaj. Cokolwiek się stanie, cokolwiek zrobi Indygo, proszę cię, nic się nie bój. To tylko coś, co on umie robić, nic więcej, a zro bi to, aby nam pomóc. Obiecuj, że nie będziesz się bała.

Babka spojrzała na nią spod żółtych powiek oczami mądrymi i zmęczonymi. Odrzekła po angielsku:

- Powiedziałam ci, że nie wiem, o czym mówisz. Pozwól mu

robić, co ma zrobić, i przestań martwić się o mnie. Jestem za stara na wielki strach, Fino. - Zdjęła rękę Joey ze swych ramion.

Indygo odszedł do tyłu. Gwałtownie potrząsał głową i barkami, w milczeniu otwierał usta. Coś niewidzialnego jakby chwyciło go w zęby, targało nim, aż zaczął się strzępić, tracić wyrazistość, rozwiewać się na wszystkie strony. Abuelicie dech zaparło, chwyciła Joey za rękę, ale nie wydała żadnego innego odgłosu.

Tam na rogu ulicy, na południowokalifornijskim przedmieściu, z mruczącą w oddali autostradą do San Diego, Indygo rozplynął się na ich oczach, a równocześnie przyplął z powrotem w nowej postaci: parzystokopytny, z wykwintną bródką, bielszy na tym świecie niż w swoim własnym. W blasku ulicznej latarni Joey widziała, że jego róg nie jest jednolicie biały, ale ma ciemniejszy odcień u podstawy i na czubku, niczym cienie na śniegu. Skłonił głowę przed Abuelitą, która westchnęła jak kobieta zakochana.

- Zanieś cię na grzbiecie - powiedziała Joey. - Będzie do brze, zachowa wielką ostrożność.

Indygo ukląkł przy krawężniku.

Abuelitą patrzyła długo na niego, potem na Joey, wreszcie na ciemne niebo. Przemówiła cicho, hiszpańszczyzną tak oficjalną, że Joey ledwie ją rozpoznała.

- Ricardo, może w ten sposób mam przyjść do ciebie. Nie chaj tak będzie.

Następnie, ze zwinnością i pewnością siebie młodej dziewczyny, dosiadła Indyga. Mocno chwyciła go za grzywę, kiedy powoli ruszał naprzód.

- A co ze mną? - zaprotestowała Joey. - Jestem kompletnie załatwiona, nie potrafię dotrzymać ci kroku. Mogę też cię dosiąść?

Indygo rozbawiony mrugnął do niej bystrym okiem. Umyślnie przyspieszył, Joey zaś biegła przy nim zasapana i trzymała Abuelitę za nogę w kostce.

- Kiedy Granica znów się przesunie - powiedział - nie wróć ci na to miejsce. Musicie mieć pewność, że w porę opuścicie Shei'rah.

- W jaką porę? O co ci chodzi? Skąd mamy wiedzieć?

Indygo całkowicie zignorował pytania Joey. Oddalał się te raz od ulic śródmiejskich i Joey z coraz większym niepokojem



zdawała sobie sprawę, że kieruje się prosto w stronę autostrady do San Diego. Spojrzała na Abuelitę, która siedziała wyprostowana na grzbiecie białego jednorożca, z twarzą odmłodzoną zdziwieniem, z ustami poruszającymi się bezdźwięcznie, z siwiejącymi czarnymi włosami rozwianymi wokół głowy. *Babcia się nie boi. Och, wcale się nie boi.*

Co chwila rozbrzmiewał za nimi klakson samochodu. Joey zdążyła pośpiesznie się obejrzeć i zobaczyć za szybą kilka młodych twarzy z szeroko rozdziawionymi ustami, zanim Indygo zębami złapał ją od tyłu za bluzkę, bez wysiłku poderwał z ziemi i posadził przed Abuelitą, która pomogła jej chwycić równowagę. Później Indygo z tętentem wbiegł na autostradę i włączył się w sznur pojazdów. Z wściekłym trąbieniem, zgrzytem hamulców i światłami miotającymi na wszystkie strony błyski podobne do spłoszonej ławicy ryb, kierowcy próbowali równocześnie zwalniać, przyspieszać, zmieniać pasy i unikać zderzenia z tym czymś niemożliwym. Zbyt odretwiła, aby się bać, Joey zamknęła oczy i wczepiona w grzywę Indyga czuła dotyk spokojnych rąk Abuelity, które przytrzymały ją w pasie. Abuelitą powiedziała jej do ucha:

- Wszystko w porządku, Fino. Nie stanie się nam nic złego.

Joey odniosła wrażenie, że jej babka się śmieje.

Indygo zbaczał w lewo, znów w lewo, przemykał między samochodami, furgonetkami i ryczącymi ciężarówkami z taką łatwością, jak najbardziej opanowany kalifornijski kierowca. Na lewo ukazała się trawiasta wysepka: gładkim susem wylądował w tej niewielkiej przystani i znieruchomiał, obojętny na ciemne kształty przepływające po obu stronach, czasami zaś na żalosny lament zderzaka, kiedy wpadały na siebie samochody, których kierowcy oglądali się do tyłu. W całym tym dzikim rozgardiaszu Indygo przemówił wyraźnie:

- Beze mnie nigdy byś tu nie trafiła. Zapamiętaj to sobie.

Rozważnie zrobił dwa kroki do przodu, na sam skraj wysepki. Jasne południe Shefrahu rozkwitło w otaczającej ich ciszy. Za plecami Joey Abuelitą szepnęła:

-Och.

Rort>ri^ł t>riewiätvj

*m^oe*y starannie przygotowała się na to, że uspokoi Abuelitę, rozproszy jej obawy i pomoże się otrząsnąć z oszołomienia, ale nie zaszła taka potrzeba. Kiedy stara kobieta zgrabnie zsunęła się z grzbietu Indyga, wydała cichy okrzyk zachwyty na widok łąki, pierwszej rzeczy, jaką Joey kiedyś ujrzała w Shei'rahu.

- Ay - szepnęła Abuelita, pochylając się, aby obie ręce za nurzyć w kwiatach z pomarańczowymi języczkami - *ay, que mi-lagro*. - Popatrzyła na Joey z twarzą, jakiej ta nigdy nie знаła, z twarzą dziecka, które ma urodziny. - Ay, Fino, ty to zrobiłaś. Dałaś mi muzykę.

Joey ją uścisnęła i w tej samej chwili czujnie zerknęła na roziskrzone niebo.

- Wejdźmy może do lasu. Perytony wciąż tędy przelatują.

Indygo zniknął bez słowa.

- Perytony. - Abuelita wypróbowała to słowo, głaszcząc Joey po włosach. - *Peritonos*. Brzmi ładnie. - Popatrzyła nad jej ramieniem i nagle przestała poruszać pieścizotliwą ręką. Joey pośpiesznie się odwróciła. Nadchodził Pan Sinti.

Joey nie pamiętała, aby widziała czarnego jednorożca w pełnym świetle dziennym: znała go jako istotę zmierzchu i świtu, półmroku i cienia, zdecydowanie obecną, zawsze jednak nie całkiem widoczną. Teraz, krocząc ku nim z rozwagą, wydawał się w słońcu jeszcze ciemniejszy, tak czarny, że wszystko z wyjątkiem jego czerni raziło wzrok Joey. Głowę trzymał wysoko, toteż narośle, pieczętujące mu oczy, płonęły w słońcu turkusem, a muzyka Shei'rahu, której z tak bliska Joey nigdy nie

słyszała, igrała wokół niego niczym eskorta delfinów. *Popisuje się przed Abuelitą*, przysła Joey do głowy niedorzeczna myśl, podczas gdy w jej gardle płacz zmagał się z chichotem.

Sinti, jakby jej nie poznawał, minął ją i skierował się prosto do Abuelity, z czarnym rogiem pochylonym, dopóki nie musnął nim rąbka jej sukni. Abuelitą powoli, ze zdziwieniem wyciągnęła rękę, aby dotknąć miejsca, gdzie róg wyrastał z czoła. Powiedziała:

- Śniłam o tym. Śniłam o tobie.

- Śniliśmy o sobie nawzajem - odparł Pan Sinti. Głos jego był ciszą w umyśle Joey, wypełnionym wrzawą. - Witaj, Alicio Ifigenio Sandoval y Rivera.

- Alicio Ifigenio Josefino - poprawiła go Abuelitą. Ścisnęła rękę Joey, lecz nadal wpatrywała się w Sintiego. Czarny jednorożec rzekł:

- Bardzo rzadko się zdarza, że sen w waszym świecie styka się ze snem w Shei'rahu. To rzecz niecodzienna, ale spotykana.

Joey zauważyła w oszołomieniu, jakby z daleka, że Sinti mówi po angielsku, Abuelitą natomiast szybko odpowiada po hiszpańsku.

- Niecodzienna, powiadasz? Powinieneś przyjść do schroniska Srebrne Sosny. Pełno tam takich starych pań jak ja, a każda z nas śni o takim miejscu jak to. Powiedz, coś innego nam po zostaje? Jeśli ja śniłam o tobie noc w noc, odkąd się tam znalazłam, dosłownie każdej nocy, kto wie, o czym śnią te inne *viejjas*?

Głaskała szyję Sintiego, a Joey widziała, jak najstarszy z Najstarszych po kociemu reaguje na dotyk.

- Ale ja też o tobie śniłem - rzekł - choć nie jestem babką w Srebrnych Sosnach. - Niewidzące oczy zwrócił na Joey. - Kiedy ona się zjawiała, myślałem, że to ty, myślałem, że wyśniłem niewłaściwy czas.

Abuelitą wolnym ramieniem objęła plecy Joey.

- Moja Fina jest mną, tylko lepszą. Nowym, ulepszonym modelem. - Posmutniała, gdy delikatnie położyła dłonie na oczach czarnego jednorożca. - Nie śniłeś mi się ślepy, *pobreci-to*. Co to takiego?

- To przytrafia się im wszystkim - objaśniła ją Joey. - Wpierw najstarszym, potem... małym. - Pomyślała o Touriąu i zapragnęła, żeby tu był.

Abuelita znów dotknęła oczu czarnego jednorożca.

- To... muszę sobie przypomnieć, co robiliśmy w Las Perlas. Nie stać nas było na lekarzy, ale mieliśmy coś... przypomnę sobie. Rozejrzała się po łące i westchnęła z ukontentowaniem.

- No, kto mnie oprowadzi po tym pięknym miejscu?

Jalla ze strumienia przez krótki czas odczuwała zazdrość. Sama nie miała rodziny, tylko cechującą wszystkie jalle silną świadomość, że prócz niej istnieją inne, a choć nawykła do samotnej egzystencji, natychmiast potraktowała wzajemną zażyłość Joey i Abuelity jako odtrącenie. Rzecz dziwna, rozumiała albo uważała, że rozumie, dlaczego ktoś zajął jej miejsce. Dla niej wiek Abuelity był zadziwiającym cudem, pomarszczona brązowa skóra i siwe włosy darami, których trzeba bezsilnie zazdrościć.

- Jeśli możesz ciągle przebywać z kimś tak pięknym, czemu miałabyś zwracać sobie głowę zwykłą jallą ze strumienia?

- zadała Joey rozsądne pytanie.

Dopiero kiedy Abuelita pogodnie usiadła na brzegu i przebijając artretycznymi stopami w wodzie zaczęła na głos czytać książkę przyniesioną przez Joey w plecaku, jalla przysunęła się bliżej. Joey roztropnie oddaliła się z Touriątem, a gdy wróciła sama po paru godzinach, znalazła obie pogrążone w głębokim śnie. Jalla trzymała głowę na kolanach Abuelity, ilustrowaną książkę zaś ścisnęła w połączonych błoną palcach obu wilgotnych rąk.

POBYT W SHEI'RAHU Z ABUELITA był całkiem zwyczajnie najszczęśliwszym okresem w życiu Joey. Ale i czymś więcej, niż się spodziewała; bo babka, taka ożywiona i ciekawa, jakby ubyło jej siedemdziesiąt lat, koniecznie chciała wszędzie chodzić, wszystko odkrywać, wszystko poznawać.

- Jakbym pilnowała trzyletniego dziecka - zwierzyła się Joey satyrowi. - Ledwie się odwrócę, a już próbuje z naprawdę bliska obejrzeć jakhao albo wesola jak szczygiełek wędruje po otwartych przestrzeniach i zrywa kwiaty dokładnie tam, gdzie mogłyby ją dopaść perytony. Wesola jak szczygiełek. - Joey ze śmiechem wzruszyła ramionami. - Wczoraj na jedną minutę spuściłam ją z oczu, a odnalazłam dopiero po zachodzie słońca. Naprawdę się zląłam. Wiesz, gdzie była? No, zgadnij.

- Z paroma moimi młodszymi kuzynami. - Ko spuścił wzrok. -
Przepraszam, córko.

- Och, możesz mi wierzyć, że świetnie się bawiła - podjęła Joey. -
Z jaką rozkoszą latała po lasach. W głowie się to nie mieści. Zupełnie
jakbym natrafiła na całkiem inną babkę, kogoś właściwie nawet nie
znanego. - Westchnęła. - Naprawdę bardzo niechętnie będę ją zabierała
do domu. Kiedy nadejdzie pora.

Ani Ko jednak, ani Najstarsi nie umieli jej określić. Od Fi-reez,
matki Touriãa, Joey dowiedziała się tylko, że prawdziwe Przesunięcie
Granicy - w przeciwieństwie do przypadkowego odchylenia jej
zaledwie na środek autostrady do San Diego -naruszyło wszystkie
zasady przechodzenia z jednego świata na drugi.

- Nie potrzeba księżycy... Przesunięcie może nastąpić każ-
dego dnia czy nocy. Ale moment, kiedy możemy przechodzić,
jest bardzo krótki, znacznie krótszy niż zwykle. I jak wiesz,
zmienia się miejsce przekraczania Granicy. - Fireez skarciła
Touriãa za brak delikatności w zabawie z młodym satyrem
i znów zwróciła się do Joey. - Powiem ci tyle. Obserwuj, co ro-
bią shendi.

- Shendi - powtórzyła Joey. - Małe smoki?

Fireez kiwnęła głową.

- Tym razem tam, gdzie są one, będzie Granica. Wciąż je
obserwuj. Powiedz swojej babce. - Jakby zrobiona z morskiej
piany Najstarsza pogodnymi, niezgłębionymi oczami przyglą-
dała się Joey, która nie mogła w nie patrzeć długo, bo dostawa-
ła zawrotu głowy. - To będzie pożegnanie, Josephine.

Najstarsi, z wyjątkiem Sintiego, rzadko zwracali się do Joey po
imieniu. Coś ścisnęło ją za gardło.

- Może nie. To znaczy, może Granica przesunie się tylko do
San Francisco czy podobnego miasta. Nawet do Yuba City. To
by było coś. W Yuba City mam wuja.

Touriãa przysunął się do Joey, przycisnął głowę do jej piersi i
nadepnął jej na stopy.

- Po tym Przesunięciu - rzekła Fireez - Shei'rah znajdzie
się bardzo daleko. Czuję to. - Po chwili wahania szybko potar-
ła ramię policzek Joey i dodała: - Ci z nas, którzy teraz żyją
w twoim świecie... chyba nigdy więcej nie znajdą Granicy, ale

może ty znajdziesz. Jeśli tak, to im powiedz. Wypatruj ich i powiedz, gdzie jesteśmy, Josephine.

- Tak - szepnęła Joey. - Tak, powiem.

DALEJ RYSOWAŁA SWOJE MAPY I OBRAZKI Shei'rahu, ze wzmożonym, wściekłym zapałem szkicowała w ogólnych zarysach jego życie. Dzięki temu, czego nauczył ją John Papas, mogła teraz gryzmolić na zaimprovizowanej pięciolinii i utrwałać strzępy muzyki, którą wdychała codziennie jak woń kwiatów o wciąż jeszcze nie znanych nazwach. Jalla obserwowała ją absolutnie zafascynowana, w nietypowym dla siebie milczeniu, aż wreszcie spytała:

- Co z tym zrobisz, moja siostrze? Kiedy już na dobre uwieczysz śpiew Shei'rahu między tymi czarnymi liniami?

- No, dam go ludziom - odparła Joey skrepowana. - To znaczy tam, skąd przybywam, są różni ludzie, którzy bardzo by chcieli grać to co Najstarsi. Mogą poznać tę muzykę z tego, co teraz zapisuję, a później grać na całym świecie. Moim świecie, po drugiej stronie Granicy.

- Ach - rzekła Jalla. - I co wtedy?

- Skąd mam wiedzieć? - zapytała Joey. - Przecież ci ludzie są dorośli, ja jestem tylko dzieckiem, więc cóż mogę wiedzieć? Będą po prostu grać, i tyle, a może ja będę sławna w telewizji. I nie zaczynaj, o telewizji już ci mówiłam.

Jalla leniwie przeciągnęła się w wodzie i schwytała rybę, choć wydawało się, że na nią nie patrzy. Ogryzając ją rozważnie i dokładnie, jak kolbę kukurydzy - Joey zawsze odwracała oczy - zauważyła:

- Ale nie będziesz miała mnie. - Joey nie odpowiedziała.

Jalla ciągnęła cicho: - Teraz rozumiem, co to jest pisanie, co to są książki i obrazki, nawet telewizja. Ale żadna z tych rzeczy nie jest mną. Możesz mnie narysować, możesz zapisać każde moje słowo, ale choć to zrobisz, i tak nie będziesz pływać ze mną w moim strumieniu, nie będziesz słyszeć, jak mówię do ciebie, siostrze. Więc wszystko to jest głupie. Chodźmy łapać ryby.

Śledzenie shendich było jeszcze trudniejsze od pilnowania Abuelity. Shendi łączą się w pary na całe życie i najczęściej trzymają się razem z innymi parami; żadnego ze znanych Joey smoczyc wylęgów nie dało się jednak odnaleźć w tych ciepłych

i suchych miejscach, gdzie samice zazwyczaj składały jaja i wysiadywały młode wielkości ludzkiej dłoni. W końcu, kiedyś późnym popołudniem, Joey natrafiła w Lesie Zachodzącego Słońca na małe stadko w płytkim parowie, ukryte w wilgotnym, wypróchniałym pniu - w niepokojąco nietypowym dla shendich schronieniu. Abuelita z pewnej odległości obserwowała małe, które udawały, że fruują, ją zaś z kolei obserwowały dorosłe smoki. Towarzyszył jej Pan Sinti.

Joey podbiegła do Abuelity i uściskała ją serdecznie. Swoją najlepszą hiszpańszczyzną powiedziała:

- Babciu, odtąd musisz zawsze trzymać się bardzo blisko mnie. Może będziemy musiały stąd odejść w wielkim pośpiechu.

Abuelita się uśmiechnęła.

- Jedyną dobrą stroną starości takiej jak moja, Fino, jest to, że niczego nie trzeba już robić w pośpiechu. - Mrugnęła i ruchem głowy wskazała czarnego jednorożca. - On wie.

Sinti zwrócił się do Joey.

- Mądrze zrobiłaś, że wyszukałaś to miejsce. Chyba tu będzie jedyne przejście podczas Przesunięcia.

- Chyba - rzekła Joey. - Nie jesteś pewny. - Sinti milczał. Joey odetchnęła głęboko i powiedziała: - Indygo twierdzi, że Najstarsi mogą przetrwać po tamtej stronie Granicy. To prawda. Widziałam ich. - Czarny jednorożec czekał bez ruchu. -1... i on jest zdania, że Najstarsi nie żyją wiecznie. Według niego to kłamstwo... - Głos jej się załamał przy ostatnich słowach.

- Dziecko, nikt nie żyje wiecznie - wtrąciła się Abuelita. -To niedozwolone. Ja mogłam ci o tym powiedzieć. - Sinti jakby zebrał się w sobie, urósł, a zarazem pociemniał i stracił coś ze swej masywności: wielki, mroczny cień przytłoczony własną zagadkową mądrością.

- Może to nas ze sobą łączy - rzekł - was i nas, wasz świat z naszym światem. My żyjemy o tyle dłużej niż wy, o wiele dłużej nawet niż tiruje, tak długo, że czasami naprawdę zapominamy o swojej śmiertelności. A mimo to odczuwamy równie głęboki lęk przed śmiercią jak wy - na pewno większy, bo SheFrah jest dla nas o tyle lepszy niż, moim zdaniem, wasz świat dla was. Zawstydzają nas ta świadomość śmierci i jeśli chronimy przed nią młode, odsuwamy ją też od siebie, jak najlepiej umiemy.

Zaiste wierzę, że kiedyś byliśmy inni, tego jednak nawet ja nie pamiętam, i teraz znasz prawdę.

-Ay, zdecydowanie powinieneś przyjść do schroniska Srebrne Sosny - cicho odezwała się Abuelita. - Jeśli chcesz zobaczyć, jakie są skutki okłamywania własnych dzieci.

Sinti nadal stał twarzą zwrócony do Joey.

- Mówiłem ci kiedyś: od początku, w każdym z waszych pokoleń, zawsze jacyś Najstarsi przekraczali Granicę w ludzkiej postaci. Nie powiedziałem natomiast, że niektórzy nigdy nie wrócili, że zniknęli na zawsze wśród was. Takiego dokonali wy boru, i my go szanujemy, ale do niego nie zachęcamy. - Choć się raptownie odwrócił, jego smętny głos nie przestawał rozbrzmiewać w umyśle Joey. - Może nasza ślepotą jest następstwem tego, czego nie chcieliśmy widzieć. To możliwe.

Patrząc, jak wchodzi między niebieskie drzewa, Abuelita odezwała się do Joey:

- On tak pięknie mówi. Twój dziadek miał zwyczaj mówić tak po drugiej szklaneczce *pulque*. - Rąbek długiej, luźnej sukienki, którą za namową Joey zabrała na wspólną wyprawę, wystrzępił się i uwalął ziemią i trawami Shei'rahu; jej brązowe policzki natomiast nabrały ciepłej barwy, której Joey nigdy przedtem na nich nie widział, oczy zaś skrzyły się jak strumień jalli w popołudniowym słońcu. Powiedziała: - Dziękuję, że mnie tu przyprowadziłaś, Fino. Gdziekolwiek to jest.

- Nie wiem - odparła Joey. - To znaczy, mnie się tutaj podoba, ale jak się zastanowić, w Shei'rahu nie ma za dużo do roboty, wiesz? Pewnie robi się dość nudno i w ogóle.

Abuelita uśmiechnęła się. - Fino, tam, w Srebrnych Sosnach, mają dla starych ludzi najróżniejsze zajęcia. Jest golf, ping-pong, są lekcje pisarstwa, bale kostiumowe, wystawia się sztuki... Możesz się nawet nauczyć karate i robić masaże, jeśli ci przyjdzie ochota. Ale tu po raz pierwszy od bardzo dawna mogę po prostu być. Siedzieć i przez cały dzień nie myśleć o niczym. Wąchać kwiaty, których nigdy w życiu nie wąchałam. Opowiadać różne historie tej dziewczynce w wodzie albo pić i tańczyć z tymi włochatymi ludźmi, tymi, co dziwnie pachną. Nic nikomu nie muszę tłumaczyć. Kiedy będziesz taka stara jak ja, Fino, zrozumiesz, jak dobrze jest, kiedy nic nie trzeba tłumaczyć.

Jedno z małych shendich, które na chwilę wyrwało się spod opieki rodziców, ślizgając się, podeszło do Abuelity i z sykiem wsparło pokrytą łuskami, szponiastą przednią nogę na jej bucie. Abuelita przykucnęła bez pośpiechu i wyciągnawszy rękę, zagruchała:

- *Ven aqui*, mały skarbie, małe ladaco, *ven aqui*. - Smoczątko czmychnęło do tyłu, przewróciło się, podniosło i znów ostrożnie zbliżyło do nęcących brązowych palców. Abuelita patrzyła ponad nim na samce i samice, które teraz podnosiły turkusowe, czarno żebrowane skrzydła i ostrzegawczo wyginały szyje. Powiedziała wyraźnie:

- Jestem nikiem. Jestem drzewem, kamieniem, odrobiną światła słonecznego, niczym więcej. - Bardzo wolno skrzydła się opuściły.

- Nie mogę tego znieść - wybuchnęła Joey. - Całymi miesiącami próbowałam się do nich zbliżyć!

Mały shendi w końcu podjął decyzję i wlaź na nadstawioną dłoń Abuelity. Nie wstając, podniosła go do twarzy i oboje długo się sobie przypatrywali.

- No, z wiekiem wiąże się coś jeszcze - stwierdziła Abuelita. - Ludzie mniej się starego człowieka boją. - Postawiła smoczątko na ziemi, a ono dumnym krokiem wróciło do rodziców, jakby dwukrotnie większe niż w rzeczywistości. Samica natychmiast powaliła je na ziemię, po czym przygarnęła do siebie. - Fino, *wiem*, że możemy coś zrobić na tę ślepotę - odezwała się Abuelita. - Lada chwila mi się przypomni.

- Słyszałaś, co ci mówiłam, Abuelito? - zapytała Joey. - Może będziemy musiały ruszać naprawdę, ale to naprawdę nagle, albo po przekroczeniu Granicy znajdziemy się w Chinach czy gdzieś indziej.

- Mhm - mruknęła Abuelita, nadal przykucnięta, z zamkniętymi oczami. - Mimo wszystko Chiny to byłoby coś, prawda? - Wtedy Joey dała za wygraną, klapnęła przy niej i leżąc na brzuchu, obserwowała smoczęta.

Rorbri^ł t>riesiätvj

A

m %buelicie przypomniało się w środku bezksiężycowej nocy, tak ciepłej, że obie z Joey spały pod gołym niebem, wygodnie ułożone na osłoniętym zboczu wzgórza nieopodal Lasu Zachodzącego Słońca. Abuelita usiadła, jakby ani przez chwilę nie spała, trzepnęła Joey w biodro i oznajmiła donośnie:

- *Oro! To oro!*

- Trochę głośniej - mruknęła Joey zbyt oszołomiona, aby mówić po hiszpańsku. - Może jest gdzieś tam peryton, który cię nie słyszał. - Abuelita już była na nogach, klaskała w dłonie i w zachwycie zataczała wokół wnuczki niewielkie kręgi. - Złoto, Fino! Na oczy złoto, tak! Tak jak to robiliśmy w Las Perlas!

Joey usiadła powoli, kręcąc głową, choć szyję miała zeszywniała.

- Nie mieliście żadnego złota w Las Perlas, Abuelito. Nie mieliście nawet bieżącej wody.

- Bieżącej wody nie. Pieniądzy oczywiście nie. Ale złoto! -Babka przykucnęła obok Joey i mówiła z powagą, ale głosem przerywanym przez śmiech. - Gdzieś zawsze było trochę złota, zwłaszcza w takim biednym miasteczku jak Las Perlas. Bransoletka podobna do tej, którą ci dałam, kolczyki, zegarek, może stary medal, nawet klamerka do buta. Nie uwierzyłabyś, w czym jest złoto i kto może mieć mały kawałek. Na wszelki wypadek, *tu sabes?*

- Jak pan Papas. - Joey przetarła sklezione snem powieki. - Pan Papas trzymający wszystkie te monety w małym pudełku na wszelki wypadek. Tak samo jak jego koledzy. - Ostatnie

słowa zagłuszyło ziewnięcie. - Dobra, więc co ze złotem? Co z oczami?

- *Pues*, jedno, czego mieliśmy w Las Perlas pod dostatkiem, to niewidomi, ludzie z poważnymi kłopotami ze wzrokiem. Zwłaszcza dzieci. - Z łokciami wspartymi na kolanach Abueli-ta pochyliła się do przodu i spłotła przed sobą dłonie. - Tak. Ktoś przynosił pierścionelek, bransoletkę, topiło się to i dodawało parę rzeczy. Ucierało się to w *metate*, robiło - co? *embroca-cion* ? - robiło się rodzaj maści do wcierania w oczy. Była piekąca, to pamiętam. Nie wiem, czy z powodu złota, ale pamiętam, jak piekła w rękę. -Westchnęła głośno i czule. -Ay, wiele straciłaś, Fino, że nie dorastałaś w Las Perlas.

- Tego jestem pewna. - Joey, całkowicie już rozbudzona, przypominała sobie, że słyszała od Abuelity liczne historie o Las Perlas. -Więc to skutkowało? Czy ktoś kiedyś odzyskał wzrok?

- *La verdad!* Ludzie, którzy w ogóle nie widzieli, po krótkim czasie zaczynali znów widzieć. To prawda, Fino!

Mimo braku księżycy oczy Abuelity błyszczały zadowoleniem.

- No, w Shei'rahu nie ma złotych zegarków, tyle to wiem... - Joey urwała, wstała powoli, następnie zaś spytała tak cicho, że Abuelita musiała wyteńczyć słuch, aby ją zrozumieć. - Co jeszcze? Co jeszcze dodawaliście?

- Ach, teraz nad tym muszę się zastanowić. - Abuelita westchnęła, zmarszczyła się i podrapała w głowę. - Co to mogło być? Co mieliśmy? Liście, był jeden specjalny liść, który należało zemleć. Idź, poszukaj trochę złota, a ja tymczasem sobie przypomnę, Fino. Te rzeczy wolno wracają do starej kobiety. Idź, idź, będę tutaj.

Abuelita przysiadła na piętach, złożyła razem czubki palców, uśmiechała się bez powodu i wyglądała na tak spokojną i trwałą jak drzewo. Joey natomiast, na pół roześmiana, na pół rozżłoszczona i całkowicie zbita z tropu, potykając się ruszyła w ciemnościach na poszukiwanie złota.

Wiedziała z doświadczenia, że nic nie daje szukanie akurat tego czy innego z Najstarszych. Sami przychodzili i znajdowali szukającego lub nie. Świadoma tego okrążała Las Zachodzącego Słońca, aż dotarła na skraj równiny, gdzie po raz pierwszy widziała, jak pasą się i ścigają młode jednorożce. Stała w roz-

kroku, z założonymi do tyłu rękami, i w duchu przemawiała do Indyga. *Stuchaj, nie lubisz mnie, nie wiem, czy lubisz kogokolwiek, byłeś' naprawdę miły tylko dla Abuelity. Cóż, to dotyczy Abuelity i ślepoty Najstarszych, więc jeśli ma dla Ciebie jakieś znaczenie, jestem tutaj i możemy porozmawiać. Dobra? Dobra, chyba tak.* Później, ponieważ nadal czuła się dość głupio, a w dodatku kręciło jej się w głowie, dorzuciła: *Stuchali państwo Radia Wolny Woodmont, i usiadła w oczekiwaniu.*

Słońce wysoko wspięło się na niebo, muzyka Shei'rahu, najczęściej potężniejsza o świcie, a w ciągu poranka stopniowo przycichająca, zamieniła się w melodyjny szept, zanim Joey zobaczyła Indyga. Ku jej wielkiemu zdziwieniu szedł w ludzkiej postaci; wstała i ruszyła na spotkanie drobnej figurki sunącej po równinie.

Bawiło się tam niewielu Najstarszych, którzy nie zwracali na nich najmniejszej uwagi. Indygo wydał się Joey zmęczony i prawie brzydki.

- Dzięki, żeś przyszedł. - Zaszczycił ją długim, chłodnym spojrzeniem, ona zaś po raz pierwszy dostrzegła niebieskozielone plamy w kąciach jego oczu.

Widząc to, przyznał:

- Tak. Tak, i co z tego? Co masz mi do powiedzenia?

Joey mówiła bardzo szybko, żeby nie myśleć.

- Potrzebne nam złoto. Mnie i Abuelicie. - W wyrazie twarzy Indyga nie zaszła żadna zmiana, zamrugał jednak, co Joey uznała za swój osobisty triumf. - To dla was na oczy, dla was wszystkich, stopimy złoto i zrobimy jakąś maść. Abuelita wie jak. Musimy się tylko pośpieszyć, bo lada moment przesunie się Granica.

Czekała na wybuch jego szyderczego śmiechu, tak jak czekała całe rano, ze świadomością, że ważne jest to, co nastąpi później. Znów ją jednak zaskoczył, gdy po chwili milczenia rzekł krótko:

- Nie mam złota. Poproś w sklepie muzycznym Papasa, jeśli chcesz złota.

- On by mi go nie dał - odparła Joey. - Ale tobie oddałby każdą odrobinę złota, jaką posiada. A ma o wiele więcej niż wtedy, kiedy zjawiłeś się po raz pierwszy. Obdzwoił chyba wszystkich swoich przyjaciół i znajomych.

jak mówiłam, dobra? Moja Abuelita jest bystra, wymyśli coś innego. Nic się nie martw.

Znów się odwróciła i znowu Indygo okręcił nią tak, że stanęła do niego twarzą. Wciąż zimnym tonem towarzyskiej rozmowy podjął:

- Mógłbym w tej chwili przekroczyć Granicę, nagi i z pustymi rękami, i sam się udać do twojego Woodmont czy gdziekolwiek indziej. Bez żadnej głupiej pomocy ze strony twojej czy twojego sklepu muzycznego. Wiesz o tym.

- Boże, zapomniałam, jaki jesteś przekorny - rzekła Joey znużona. - Teraz zrobisz to tylko dlatego, że ci powiedziałam, żebyś nie robił. Wiesz co, Indygo? Coś ci powiem. Do diabła z tobą. Rób, co chcesz, ja muszę wracać do Abuelity. Przyślesz mi widokówkę, dobrze?

Zagłębiła się już w Lesie Zachodzącego Słońca, jeszcze myśląc, jak przeprosi Abuelitę - *spartaczyłam to, po prostu wszystko spartaczyłam, moja wina, on mnie doprowadza do takiego szatu* -kiedy wreszcie dogonił ją Indygo. Przystanęła i czekała w milczeniu, a on wpatrywał się w nią tak, jakby jej nigdy przedtem nie widział. Odwzajemniła groźne spojrzenie, jakoś niejasno świadoma, że od dawna się go nie boi, co napełniło ją prawie żalem.

Indygo westchnął.

- Tyle sklepików muzycznych - powiedział. - Tyle sklepów muzycznych w twoim wspaniałym, okropnym świecie, a ja wcho dzę do tego jednego i znajduję Josephine Rivera. Och, szkoda, że nie urodziłaś się w Shei'rahu, Josephine Rivera. Obojgu nam zaoszczędziłoby to wielu kłopotów.

JOHN PAPAS PRZYJĄŁ RÓG prawie z niechęcią, pytając Indyga:

- Jesteś pewny? Patrz - i ruchem głowy wskazując Joey -ona mi mówi o tym, co to znaczy, więc trochę się orientuję, co jest co. Na pewno chcesz?

- Och, chciałem zawsze - cicho odparł Indygo. - Na pewno - nie, może nigdy - ale muszę postępować tak, jakbym był pewien. Czy to nie pierwsza lekcja życia na tym świecie? - Wepchnął srebrzystoniebieski róg w ręce Johna Papasa. - Ale będzie pana kosztował bardzo drogo, jak już mówiłem.

John Papas podniósł róg powoli, jakby był bardzo ciężki, choć Joey wiedziała, że nie jest.

- Nie tyle co ciebie. To też wiem. - Patrzył to na Indyga, to na Joey, po czym z westchnieniem znów kiwnął głową. - Dobra, dobra, znajdę pudełko, bo będzie ci potrzebne.

W oczekiwaniu na księżyc siedzieli we dwoje w ogródku kawiarni przy autostradzie. Indygo wciąż zamawiał *cafe mochas*. „Jak dotąd moje największe odkrycie w waszym świecie! Kto wie, jakie inne czekają mnie cuda?” Joey zaś myślała, przed czym jeszcze go przestrzec, na przykład przed opryszczkami, cholesterolem, szczepionkami przeciwężcowymi, Służbą Imigracyjną i Naturalizacyjną („Abuelita nazywa ją *la migra...* pamiętaj, Indygo, że koniecznie musisz zdobyć zieloną kartę!”), coraz cieńszą warstwą ozonu. W końcu, kiedy mu wyjaśniła, co to są strzelaniny z samochodu, rzekł z dawną drażliwością:

- Powiedz mi coś dobrego o swoim świecie, coś, co ci się w nim podoba, coś, czego nie mamy w Shei'rahu. Reszty sam mogę się dowiedzieć.

Joey odparła dopiero po długiej chwili zastanowienia:

- Cóż, dobre są koty. My nie możemy ich mieć, bo jestem uczulona, ale są naprawdę miłe. - Miała takie wrażenie, jak by cały Shei'rah obserwował ją oczami Indyga, złakniony prawdziwej odpowiedzi. - Ten mężczyzna - ciągnęła. - Pod autostradą. Ten, który opiekował się twoją przyjaciółką? Który przyniósł jej pizzę? - Indygo potaknął. - Miałeś rację - stwierdziła Joey - to najlepsze, co się tu trafia. Najlepsze, co mamy.

Niebo nad Woodmont było tak ciężkie i zastygłe od smogu, że nie widziała, czy księżyc już wzeszedł, lecz Indygo wiedział. Dopił kolejną *cafe mocha*, otarł usta, uśmiechnął się jak wesóły wagarowicz i wyciągnął rękę. Joey siedziała nieruchomo, niezdolna się podnieść zza stolika.

- Chodź, odprowadzę cię do domu - rzekł Indygo.

Zostawiła go na wysepce pośrodku autostrady, obładowana złotymi monetami, biżuterią i posążkami świętych, a oczy miała tak załzawione, że Indygo musiał obcesowo ją obrócić, wskazać na Granicę i powiedzieć:

- Idź. Ratuj wzrok moich pobratymców albo ich zostaw z oczami pełnymi lepkiej, bezużytecznej maści. To obojętne. Spełniamy nasz obowiązek.

- Pan Papas ci pomoże - chlapiąc zapewniła Joey. - I ja wrócę, pomogę. Wszystko będzie dobrze.

- Już jest dobrze - cicho odparł Indygo. - Jak ci się zdaje co jest najważniejszą przyczyną ślepoty Najstarszych?

- Co? - Joey próbowała odwrócić się w jego uścisku. - Co powiedziałeś?

- Zapytaj swoją babkę. - Przez króciutką chwilę ręce Indyga przyjaźnie spoczywały na jej ramionach. - Ona będzie wiedziała, ta twoja Abuelita. Przestań się wiercić, Fino Rivero, uważaj na tę ciężarówkę... Hop! - Jego dłonie ześliznęły się po jej plecach i gwałtownie przepchnęły ją przez Granicę, w fantastyczny spokój Shei'rahu.

ZDOBYCIE ZŁOTA NA MAŚĆ Abuelity okazało się o wiele łatwiejsze od znalezienia odpowiednich ziół. Niektóre zapamiętane przez nią nie miały dokładnych odpowiedników w Shei'rahu, więc po prostu należało zgadywać; inne, choć znane, występowały tam ogromnie rzadko. Abuelita i Joey korzystały jednak z nieocenionej pomocy tirujów, te zaś docierały wszędzie i o roślinach wiedziały wszystko; a miejscowe jalle ze strumieni odznaczały się świetną znajomością wszystkiego, co rosło nad płynącą wodą. Adoptowana siostra Joey zasięgnęła nawet rady znajomej Indyga, rzecznej jalli; Joey nie pytała i nigdy nie chciała wiedzieć, jak ją namówiła na dostarczenie podstawowego składnika maści - tłuszczu zwierzęcego - i skąd tamta go wzięła. Abuelita podeszła do tej sprawy tak rzeczowo jak do każdej innej i zapytała tylko:

- Jak, twoim zdaniem, robiliśmy to w Las Perlas? Nie bądź taka przeczulona, Fino. - Mieszała wtedy miksturę nagimi brązowymi rękami.

Z czasem Abuelita rozwiązała też kwestię uzyskania temperatury, w której stopi się złoto. Namówiła mianowicie pewną liczbę dorosłych shendich, aby kierowały swe małe, lecz rozżarzone do białości płomyki w zagłębienie w wilgotnym nadrzecznym piasku, gdzie nasypała monet Indyga. Na pytanie Joey, jak się porozumiała z małymi smokami, odparła:

- *Querida*, ja zmuszam nocne pielęgniarki w Srebrnych Sosnach, aby mnie rozumiały. Na ogół potrafię też rozmawiać z twoimi rodzicami. Powiedz mi, czym jest w porównaniu z nimi mi stadko małych smoków?

Ko wymknął się na wyżynną pustynię i wrócił ze szkarłatną tykwą niemal takich rozmiarów jak on. Joey nigdy nie widziała na tym obszarze nic podobnego, lecz Ko wyjaśnił, że rosną tam obficie, trzeba tylko umieć szukać. Cały dzień trwało przebijanie się przez niedojrzałą skórkę i wydrążanie tykwy, w końcu jednak Abuelita dostała idealny kocioł do łączenia złota, łożu, pokruszonych liści, kawałków trawy i tyłu różnych wyciągów z soku i kory drzew, ile dusza zapagnie. Robiła to w absolutnym odosobnieniu, nie pozwalając się zbliżyć nawet Joey i pogwizdując przez zęby starą piosenkę poganiaczy mułów. Potem dwukrotnie splunęła do tykwy, wypowiedziała dwa czy trzy słowa wcale nie po hiszpańsku i przywołała Joey.

- No, więc teraz - powiedziała - przekonamy się, czy wie dzieliśmy coś w Las Perlas, czy nie. Może tak, może nie.

Nagle zaniepokojona Joey wytrzeszczyła na nią oczy.

- Może *nie*? Mówiłaś, że to zawsze działało.

- Mówiłam, że zawsze? - Abuelita pociągnęła się za dolną wargę i lekko wzruszyła ramionami. - Cóż, jestem starą kobietą, to i owo zapominam. Małe, nic nie znaczące miasteczko, pełne biednych farmerów, wypróbowałyśmy tam różne wariackie lekarstwa. Zresztą tamto było Las Perlas. To nie jest Las Perlas.

- Indygo mówił, że to nie skutkuje - cienkim głosikiem powiedziała Joey. - A jednak sprzedał swój róg.

Abuelita prędko się odwróciła, potrząsnęła wnuczką, przytuliła ją i zbeształa równocześnie.

- Fino, nie zamartwiaj się tak wszystkim! Robimy, co się da, nikt cię o więcej nie prosi. Czy to skutkuje, czy nie, Indygo wie, żeśmy się starały. Bóg także. No, idź i sprowadź tu wszystkich, nadszedł czas.

Mimo ustawicznych obaw Joey, że Granica się przesunie, a one dwie osiadą na mieliźnie o tysiące mil od domu, wystarczyło jej spojrzeć na Najstarszych Shei'rahu idących się leczyć, aby inne myśli uleciały z głowy. Abuelita ustawiła kocioł z tykwy na małym ogniu, na skraju łąki podobnej do prerii, z dwóch stron odgraniczonej przez odległe nagie wzgórza, z trzeciej przez coś, co satyrowie nazywali Letnimi Moczarami i gdzie wielu z nich zbierało się w najcieplejszą pogodę.

Tak więc Joey widziała trzy długie korowody jednorożców, ciągnące się daleko jak okiem sięgnąć, aż ich postacie niknęły we mgle czy blasku słońca. Nawet na równinie nigdy nie widziała tylu Najstarszych naraz: spróbowała ich liczyć, lecz prawie natychmiast się pogubiła. Były wszelkich maści, od czerwieni kar-kadanna do złota jaśniejszego niż monety Indyga, do granatu niektórych k'i-linów, ciemnego niemal jak niebo o północy; godni Najstarsi stali spokojnie, podczas gdy źrebaki młodsze od Touriia brykały i podskakiwały dokoła; a muzyka Shei'ra-hu, wyraźniejsza w uszach Joey niż kiedykolwiek, odzwierciedlała i sławiła ich różnorodność, wzbierając ze wszech stron, jakby ani ziemia, ani powietrze nie mogły jej już pomieścić. *Przypominają ludzi w kolejce do szczepień przeciw grypowych*, pomyślała i zachichotała głupio, po czym odeszła na bok i zapłakała.

Abuelita siedziała po turecku za swoim kotłem i smarowała zlepione, opuchnięte oczy wszystkich Najstarszych po kolei - takich jak Touriia, którzy jeszcze widzieli, oraz od dawna ociemniałych - witając znajomych po imieniu (Joey zatkało, gdy zobaczyła, ile znajomości zawarła jej babka w tak krótkim czasie) i powtarzając w kółko:

- Zaczekaj parę dni - mniej więcej trzy, cztery. Jeśli nic się nie zmieni, wróć, spróbujemy po raz drugi.

Siedziała tak cały dzień, zdrzemnęła się parę godzin, podczas gdy Najstarsi czekali w milczeniu, i nim zaszedł księżyc, znów wzięła się do roboty. Kiedy Joey po raz dwudziesty czy trzydziesty zaproponowała, że ją zastąpi, Abuelita odrzekła jak zawsze:

- Nie, *gracias*, Fino. Nie wiem, czemu lepiej jest, jeśli ja to robię. Nic się nie martw, czuję się znakomicie. Yaradai, nie trzęś tak głową, wiem, że trochę piecze, nie dotykaj.

Cały zabieg trwał dwa dni i jedną noc. Pan Sinti przyszedł ostatni, a kiedy zniżył wysoko uniesioną czarną głowę do usmarowanych, zmęczonych rąk Abuelity, ona zasnęła, dalej jednak wcierała mu maść w oczy. Z krótszymi czy dłuższymi przerwami spała potem dwa dni, toteż ominęło ją spotkanie z pierwszymi z Najstarszych, którzy wrócili, aby jej podziękować. Widzieli jeszcze jak przez mgłę i nie mogli polegać na wzroku, który to się poprawiał, to pogarszał, ale był prawdzi-

wy, w przeciwieństwie do tego, który musiał im służyć tak długo, toteż nawet najdostojniejsi wozili po otaczającym ich świecie oczami źrebiąt na chwiejnych nogach. Podobnie jak Joey swego pierwszego ranka w Shei'rahu, Abuelita obudziła się wśród jednorożców; i choć patrzyły na nią w milczeniu, usiadła natychmiast.

- Podziało, hę? - powiedziała. - Jeden zero dla Las Per-las!

Natychmiast zasnęła znowu, lecz Najstarsi czekali cierpliwie i ani drgnęli, dopóki nie obudziła się po raz drugi.

Roziół dziewięty

aa^sk Joey mogła oczekiwać, tej nocy, kiedy Granica w końcu się przesunęła, przyszedł po nie Ko. Obudził ją zapach satyra, nieświeży i uspokajający jak zawsze, więc szybko usiadła, aby wyciągnąć Abuelitę z łóżka wymoszczonego liśćmi. Abuelita była już jednak na nogach i w mroku spoglądała na pień, w którym sypiały shendi. Joey wyczuwała skórę ciepło i kruchość powietrza; miało gorzki, burzowy posmak.

- Czas iść, córko - powiedział Ko. - Moja broda to wie. Joey objęła go ramionami.

- Nigdy cię już nie zobaczę - rzekła. - Nigdy.

- Przestałem mówić *nigdy* w dniu moich setnych urodzin - odparł satyr. - Shei'rah nie zniknie, księżyc też nie, a Granica nigdy nie będzie zamknięta dla ciebie ani dla twojej babki. Znajdziesz ją znowu, gdzieś w swoim świecie - może prędzej, niż przypuszczasz. Będziemy czekać. - Delikatnie przytulił Joey do brzydtko pachnącej piersi.

- Fino, zniknęły - odezwała się Abuelita. - Te jakieś smoki.

Joey i Ko równocześnie zawrócili na pięcie i pobiegli do pnia. Ani śladu shendich; nawet ich dziwny miedziany zapach jakby się ulotnił. Wtedy przerażenie ścisnęło Joey za gardło.

- Granica! Nie wiem, gdzie jest Granica! Ko, co ja pocznę, co ja teraz pocznę?

Półksiężyc był ledwie widoczny za drzewami.

- Spokój - rzekł Ko, bezradnie obracając się na różne strony. - Córko, zachowaj spokój.

Abuelita usiadła pod drzewem i zaczęła bez pośpiechu rozczesywać włosy.

Joey złapała Ko za ramiona i trzęsła nim w przypiływie strachu.

- Ko, zostaniemy uwięzione po drugiej stronie świata! Jak ja zdołam odprowadzić Abuelitę do domu? Ko, proszę cię, muszę ją odstawić do domu!

- Nie, nie musisz, Fino - cicho stwierdziła Abuelita. Joey i satyr obrócili się i wlepili w nią wzrok, ona zaś uśmiechała się w ciemnościach pod drzewem. - Podjęłam decyzję, Fino - rzekła. - Nie wracam.

- Co? - zapytała Joey. Wąskie jak szparki, żółte oczy Ko aż się zaokrągliły ze zdziwienia. Joey szepnęła: - O czym ty mówisz, Abuelito? Musimy wracać do domu.

- Ty musisz, owszem - spokojnie zgodziła się jej babka. - Ty masz swoją rodzinę, początek roku szkolnego, całe życie, wszystko czeka tam na ciebie. Także Indygo, musisz odnaleźć Indyga. Ale na mnie nie czeka nic prócz Srebrnych Sosen i śmierci. Nie, znacznie bardziej podoba mi się tutaj.

Joey gapiała się na nią, a tymczasem w zaroślach rozległ się trzask i zaraz po nim triumfalny okrzyk Tourią.

- Och, tu jesteście! - Młody jednorozec przygalopował do parowu i ruszył prosto w stronę Joey, którą walnął rogiem, kiedy go wciskał w swe ulubione miejsce pod jej pachą. - Dlaczego tu taj ? - zapytał. - Wszystkie shendi śpią przy Sadowce Trzech Księżców, tam, gdzie kąpią się karkadanny. Co tu robicie?

W pamięci Joey następne chwile na zawsze nieco się zamazały. Przypominała sobie szukanie w liściach swojego plecaka i paru rzeczy Abuelity, Ko wściekle wymyślającego swojej brodzie za to, że przegapiła odlot shendich.

- Należało wiedzieć, że mogą się ruszyć tej nocy! Im bliżej do Przesunięcia, tym one stają się bardziej niespokojne i zmienne.

Potem, bez żadnego przejścia, siedziała z Abuelita na grzbiecie Tourią, który przedzierał się pod górę przez cierniste, drapiące krzaki, a Ko wielkimi susami sadył równo z nimi na swoich koźlich nogach. Przez ten czas Joey dużo krzyczała na Abuelitę, ale jej babka tylko wzruszała ramionami i z miłym uśmiechem wskazywała na uszy.

Joey nigdy nie widziała Sadowki Trzech Księżców z bliska, bo karkadanny wciąż budziły w niej lęk. Górski sadzawka

w kamiennej niecce wydawała się za mała dla tak wielkich stworzeń, ale zawsze co najmniej trzy lub cztery pluskały się i porykiwały w zielonym cieniu. Tej nocy jednak kotlina była pusta, blada w ostatnich skośnych promieniach zachodzącego księżyca. Nigdzie ani śladu shendich.

- Są tutaj, córko - oznajmił Ko. - Moja broda drugi raz nie zawiedzie.

Joey zsunęła się z Tourią i pomogła zsiąść babce. Stały, trzymając się za ręce.

- To szaleństwo, Abuelito - zaczęła Joey. - Co ja powiem rodzinie, na litość boską?

Abuelita beztrąsko machnęła ręką.

- Powiedz, że wróciłam do Las Perlas. Od lat groziłam, że to zrobię. - Jej uśmiech nagle ze starczego i dobrotliwego zmienił się w tak młodzieńczo figlarny, że serce Joey spróbowało wyrwać się z piersi i poszybować ku niej. Po angielsku Abuelita dodała: -1 wiesz co, Fino? To niemal prawda.

- Oto Granica - obwieścił Tourią. - Mówiłem!

Przez środek sadzawki przebiegła z drzeniem zasłona zmiennej barwy, a woda stała się kłębowiskiem księżyców, usianym klejnotami. Joey próbowała na to nie patrzeć. Kurczowo czepiała się Abuelity.

- Nie chcę cię tu zostawiać. Będę za tobą tęsknić. A ty nie będziesz tęsknić za mną? Za mną... i wszystkimi?

- Będę za tobą tęsknić, moja Fino - rzekła Abuelita. - Tak jak tęsknię za twoim dziadkiem, będę tęsknić za tobą. Tyle że ty będziesz wracać i widywać się ze mną, jak w każdą niedzielę w Srebrnych Sosnach, a on tego nie może. Za resztą... - wyciągnęła rękę, dłonią zwróconą do dołu, i z wahaniem nią pomachała. - Za resztą nie tak bardzo. - Uścisnęła Joey raz, prędko, po czym się cofnęła i wskazała na Granicę. - Idź, idź, nie zdążysz na autobus. Och - i nagle mocno złapała Joey za nadgarstki. - Powiedz Indygowi... no, po prostu pozdrów go ode mnie.

- Indygo! - Joey przytrzymała Abuelitę. - Indygo kazał cię zapytać, dlaczego Najstarsi stracili wzrok, ale zapomniałam. Powiedział, że ty będziesz wiedzieć.

- Ay, ten chłopak. - Abuelita pokręciła głową, trochę ubawiona. - To dlatego, że tak długo próbował sprzedać róg za pie-

niądze. Nie mogą tego zrobić, nie są takie i to miejsce nie jest takie. Właśnie zaczyna się wkradać nieporządek, następuje rozłam, *comprendes, Fino?*

- Ale go sprzedał - krzyknęła Joey. - Jest jedynym, jedynym Najstarszym, który sprzedał swój róg...

- Tyle, że nie dla *siebie*. - W świetle rzucanym przez Granicę twarz babki jakby pulsowała znaczeniem. - Jak ci mówiłam, wartość tkwi w intencjach. Idź teraz, prędko. Kocham cię, Fino.

Granica tańczyła i wirowała nad Sádzawką Trzech Księżyców. Joey spojrzała na wodę, potem na Tourią, który rzekł z dumą:

- Na moim grzbiecie.

Milczący Ko pomógł jej dosiąść Tourią. Schyliła się, aby objąć satyra, też niezdolna wymówić słowa. On szepnął:

- Dobrze robiłem, nazywając cię *córką*, prawda?

Joey mogła tylko potaknąć.

Tourią szedł w bród przez sadzawkę i dopóki woda nie sięgnęła mu do kolan, a Joey do butów, podnosił nogi wysoko, jak koń na pokazie. W pobliżu Granicy, pochylona nad jego szyją, zaczęła powtarzać:

- To nie jest pożegnanie, nie jest, obiecuję ci, Tourią. Znajdę cię znowu, obojętne, gdzie się przesunie ta cholerna Granica, znów znajdę Shei'rah. Na pewno.

- Och, wiem o tym - odparł młody jednorozec beztrasko. - Nigdy bym tu nie przyszedł, gdybym uważał, że naprawdę nas opuszczasz. - W blasku Granicy jego róg mienił się szkarłatem, zielenią i fioletem.

Niebo było obecnie podświetlone, ciemność srebrzyła się miejscami, ukazywała wyzierający spod spodu niecierpliwy brzask. Joey się wydawało, że wszędzie, gdzie zwróci głowę, widzi dziesiątki na pół ukrytych Najstarszych, którzy ją obserwują - *widzą mnie* - spośród drzew za Sádzawką Trzech Księżyców. Cień Księżniczki Lishy, podobnie jak jej wielkiego czerwonego przyjaciela, pochylił róg w geście pozdrowienia; głos Pani Fireez przepłynął w umyśle Joey cichym szeptem: „Zaopiekuję się twoją babką, tak jak ty opiekowałaś się moim synem. Idź śmiało, dziecię śmiertelników”.

Czarnego Pana Sintiego nie widziała wcale, natomiast głos jego czuła wyraźniej niż głosy pozostałych. „Powiedz Indygo-

w kulkę, zdolna do jednej tylko logicznej myśli: *co będzie, jeśli wyląduję pośrodku autostrady?* Zamknęła oczy, z rozpaczą wspomniała drogi smród Ko...

...i stwierdziła, że podskakuje i zatacza się między porzewanymi dystrybutorami na opuszczonej stacji benzynowej. Cały duży obszar dookoła był ogrodzony, przygotowany do rozbiórki i nowej budowy; Joey wszędzie widziała zaparkowane ciężkie maszyny, lecz ani śladu człowieka. Popołudniowe słońce stało nisko na horyzoncie, a w powietrzu unosiła się daleka, zimna woń, która przepelniła Joey tak wielką samotnością, że usiadła na wysepce dla kierowców tankujących paliwo i płakała z głową opartą o mokre kolana. Po jakimś czasie wstała, spróbowała choć trochę wyżyć dzinsy zamoczone w Sadržawce Trzech Księżyców i wolno rozejrzała się dokoła, aby ustalić, gdzie jest.

Dobra, dobra. Jeśli to działa jak zawsze, byłam w Srebrnych Sośnach, z wizytą u Abuelity, a teraz wracam do domu. Dobra. Pójdę do domu.

Stała jednak w miejscu jeszcze chwilę, błędnym wzrokiem wpatrując się w puste, na pół zrównane z ziemią ulice, ale ich nie widząc. Absolutnie nic nie wskazywało na istnienie Granicy, Joey nie słyszała też ani jednego zuchwałego tonu muzyki Shei'rahu, choć pilnie nadstawiała ucha. *Ale może nigdy tak naprawdę jej nie słyszałam. Może po prostu czułam ją w sobie, jak głosy Najstarszych. Teraz już się nie dowiem.* Odwróciła się szybko i odeszła.

NIE UDAŁA SIĘ JEDNAK prosto do domu. Wieczór zastał ją w sklepie muzycznym, przy biurku Johna Papasa, ubraną w stary szlafrok jego przyjaciela, pana Provotakisa, bo jej dzinsy suszyły się przed małym piecykiem. John Papas na przemian zadawał pytania, dolewał jej greckiej kawy i przypominał, żeby zadzwoniła do rodziców, co zrobiła już wcześniej.

- Mieli ze schroniska telefon w sprawie Abuelity. Powie działam im, że dużo mówiła o Las Perlas, więc może wreszcie się tam wybrała. To byłoby do niej podobne. - Joey wypięła łyk kawy, aby zagłuszyć lekkie drżenie głosu.

- Myślisz, że uwierzyli? - zapytał John Papas.

Joey ze znużeniem wzruszyła ramionami.

- Jeśli nie, to uwierzą. Utrzymanie w zakładzie mnóstwo kosztuje, nieraz rozmawiali o tym wieczorami. Chyba nie za bar-
dzo będą szukać.

Oboje zamilkli na moment. W końcu John Papas powiedział:

- Wszystko stopione, hę? I on pozwolił jej to zrobić? Wspa-
niały dzieciak z tego Indyga. - Skinieniem głowy wskazał sre-
brzystoniebieski róg ułożony w futerale do puzonu. - Teraz dziw-
nie się czuję, bo może powinienem mu ten róg zwrócić. Jak my-
ślisz?

- On by go nie przyjął - odparła Joey.

John Papas kiwał głową.

- Cóż, obmyślę jak najlepszy sposób wynagrodzenia mu te-
go. Człowiek próbuje być uczciwy. Więc on jeszcze się tu kręci?

- Musiał zostać, kiedy Shei'rah... kiedy Shei'rah się przesu-
nęła. - *Muszę przywyknąć do wypowiedzania tego na głos, do tej
myśli, muszę i tyle. Indygo musi.*

- Wspaniały dzieciak - powtórzył John Papas. Znow wskazał
róg. - Zagraj teraz. Zagraj ten Shei'rah dla starego mężczyzny,
który nigdy go nie zobaczy. Proszę cię, zagraj.

Joey pokręciła głową.

- Nie mogłabym. To jego. Niech pan to zatrzyma, sprzeda,
zrobi, co zechce, proszę bardzo, ale to w dalszym ciągu należy
do niego. - Wstała, zawahała się, o mało znow nie usiadła, na-
stępnie podeszła do pianina, siadła i położyła ręce na klawia-
turze. Choć na podpórce na nuty leżały kartki z jej bazgroła-
mi, nie patrzyła na nie.

Przez długą, straszną chwilę nic w niej nie drgnęło ani nie
zaśpiewało.

*Zniknęło. Zniknęło wraz z Shei'rahem, muzyka, Abuelita,
wszystko - po prostu zniknęło. Nigdy się nie zdarzyło. Żadna z tych
rzeczy.*

Potem, jakby spontanicznie, jej prawa ręka drgnęła, wyko-
nała szybki trzynutowy pasaż, a za nią podążyła lewa z długą,
powoli nabrzmiewającą wspaniałością wschodu księżycy w
Shei'rahu.

John Papas powiedział:

- Ha! - i - To! - Dodał też coś po grecku.

Joey podwinęła rękawy szlafroka.

Muzyka Shei'rahu napłynęła, wznosząc się pod jej rękami, witając ją w domu. W małym sklepiku pianino rozbrzmiewało jak cała orkiestra, z uniesieniem upiększało zrodzone po drugiej stronie Granicy melodie, które przelewały się przez Joey, przewalały przez nią tak radośnie, że nie mogła na nie zważać ani ich opanować. Grała z zamkniętymi oczami i nie tylko widziała Ko, lecz także czuła jego zapach, tak jak czuła zapach owoców javadur, które jej przynosił, i ściółki leśnej miękkiej od niebieskich liści. Znów spacerowała z Księżniczką Lishą i czepiała się grzbietu Touriaa, kiedy się ścigał z innymi młodymi jednorożcami; słyszała śmiech jalli, tak jak szmer jej strumienia, szczykanie zębów, z jakim perytony skośnie zniżały lot nad ofiarą. Tego nie mogła już prawie znieść i niewiele brakowało, a przestałaby grać; wówczas jednak jej ręce przypomniały sobie milczenie Pana Sintiego, ciszę dnia spędzonego na obserwacji małych smoków, ochryple głosy gromady tirujów śpiewających coś sprośnego, cętkowaną samotność spaceru w Lesie Zachodzącego Słońca. Choć to niezupełnie była muzyka Najstarszych, naprawdę ich przybliżała, a kiedy Joey przestała grać, zasłoniła twarz i nieomal roześmiała się ze zdziwienia.

- Och, uchwyciłam to, *uchwyciłam!* Może nie dobrze, może nie w pełni, ale jednak. *Uchwyciłam* Shei'rah!

John Papas kiwał głową, głupio uśmiechnięty od ucha do ucha.

- O tak, uchwyciłaś coś, owszem, coś całkiem niezwykłego. Nie wiem, co będzie później - pokażemy to paru osobom, mo że ktoś to zagra, nagra na płytę, może tak, może nie... ale ty masz swoją *Sonatę jednorożców* na zawsze, dzieciaku. To nie odej dzie. Zostanie. - Po chwili dodał: - Dziękuję.

Siedzieli, uśmiechając się do siebie w ciemnym sklepie. John Papas w końcu się odwrócił i ciężkim krokiem podszedł do frontowego okna.

- Muszę zamykać. Chcesz zjeść coś obrzydliwego u Provo-takisa?

Joey wkładała wilgotne dzinsy.

- Nie, dzięki, powinnam wracać do domu. - Podniosła sfa tygowany plecak i też stanęła przy oknie. - O wiele za wcze śnie robi się teraz ciemno. Nie cierpię tej pory roku. - Po czym

dodała: - Zwłaszcza kiedy nie mogę już być w żadnym innym miejscu.

John Papas położył rękę na jej ramieniu.

- Dobrze, Josephine Angelina Rivera. Już dobrze. To miej sce jeszcze tam jest, prawda? Przecież nie przestało być; jeszcze gdzieś jest, prawda? Zgoda, przesunęło się, więc co z tego? Ty też się przesuwasz. Od tej chwili rozglądaj się za tamtym miejscem, gdziekolwiek pójdziesz. Jednorożce są wszędzie, nawet w Woodmont. Ty i ja wiemy o tym, może nikt inny nie wie. Wy patruj ich, nasłuchuj muzyki, słuchaj Shei'rahu. Jest gdzieś, znajdziesz go, bo dostatecznie gorąco pragniesz znaleźć. Masz czas.

Joey zmusiła się do uśmiechu.

- Chyba tak. Abuelita mówiła, że znów go znajdę. I obiecałam Touri'owi. Do zobaczenia w poniedziałek.

Otworzyła drzwi i zbierała się do wyjścia.

Wskazując jej boscą stopę, John Papas zawołał:

- Nie zaziębisz się na bosaka? Masz, dam ci coś, pojedź tak sówką.

Joey się roześmiała.

- Nie, mam ochotę pójść pieszo. Naprawdę.

- Zauważ - rzekł John Papas. - Może nie rodzice, ale brat na pewno. Jak wytłumaczysz, że zgubiłaś buty?

- Nie wiem - odparła Joey. - Później będę się o to martwić. Teraz rozejrzę się za chudym chłopakiem o naprawdę ładnych oczach i postawie. Gdzieś się tu kręci.

Starannie zamknęła za sobą drzwi i ruszyła do domu.

